



Studencki Klub Górski <http://www.skg.uw.edu.pl>

Numer 30 Zima-Wiosna
27 maja 2015



Słowo od redaktora

Drodzy Czytelnicy!

Na początku 2015 roku nasza ekipa biuletynowa stanęła wobec smutnej wiadomości: miał nas opuścić Redaktor Naczelny, Grzegorz Kaczmarek. Z żalem pożegnaliśmy kolegę, który postanowił porzucić miejskie życie i czas bliżej nieokreślony spędzić na górskich szlakach i w schroniskach. Nastąpiło małe przetasowanie, jednak skład naszej ekipy pozostał bez większych zmian. Numer 30., który składamy w Wasze ręce, jest dowodem że udało się nam utrzymać ciągłość Biuletynu. Oprócz tradycyjnych obszernych relacji z życia klubowego, znajdziecie w tym wydaniu krótką lekcję mitologii i astronomii, pamiątkę francuskiej guwernantki, przewodnik po parkach narodowych Kalifornii, wywiad z najbardziej nietypowym kursantem SKG i... całe mnóstwo artykułów dla klubowiczów, miłośników gór i amatorów wszelkich podróży. Nie zdradzam więcej i zachęcam do jak najszybszego przejścia do spisu treści. ☺

Serdeczne podziękowania składam autorom, którzy wystąpili u nas gościnnie:

- | | |
|------------------------|----------------------|
| • Paweł Nowakowski | • Marcel Wyrwibrzóz |
| • Karolina Witrowa | • Grzegorz Kaczmarek |
| • Marta Cobel-Tokarska | • Kacper Gierlach |
| • Karolina Gnysińska | • Maciej Szuba |
| • Józefina Świącicka | • Paweł Marciniak |

Stefania Ambroziak
Redaktor Naczelna Biuletynu SKG



Maj 2015. Redakcja Biuletynu: Damian Dąbrowski, Magda Bojarska, Ewelina Różańska (Zastępczyni Redaktor Naczelnej), Stefania Ambroziak (Redaktor Naczelna), Grzegorz Kaczmarek, Grzegorz Boko-
ta.

Spis treści

Z Życia Klubu	4
Kalendarium XII 2014 – V 2015	4
Z pamiętnika kursanta	9
Przedzimówkowa kursówka z Warchackiem	9
Larwa – stadium pośrednie między kursantem a waletem	10
SKG na świecie	12
Trochę wakacji w Stanach	12
O tym jak Diablak wygrał zanim stanęliśmy w szranki	14
Jak nie zostałam francuską guwernantką	15
W cztery oczy	18
Success lies in courage	18
Czy wiecie, że...	21
O chatkach	21
Zwiastuny wiosny w beskidzkim lesie	22
Ostatnia stanica Rzeczypospolitej	23
Trasy nie tylko na wczasy	24
Mapa transgranicznego bieszczadzkiego łązika	24
Poradnik Wędrowca	25
Co pić w górach, aby się napić	25
Astrobekid: kosmos na pipancie	26
Z szuflady Wagabundy	30
Piosenki z wiosennego	30
Pieśń „Z tamtej strony lodówki”	30
Kącik literacki	31
Przypadki Samotnego Odyńca	31
Logistyka Wczasów Krajowych i Zagranicznych cz. I: sztuka pakowania się.	34
Porta Rusica	35
Krzyżówka: Ludzie SKG	38
Co przed nami	39

Kalendarium XII 2014 – V 2015

Ewelina Różańska



„I wędrowali przez Beskid, aż znaleźli przysypany śniegiem namiot.” Jasełka XXXIV KPG.

Mimo że stary rok dawno już za nami, a ostatnie wydanie Biuletynu SKG zostało w zeszłorocznym kalendarzu,

to przypomnijmy sobie, co działo się po Walnym Zebraniu 10 grudnia 2014. Tydzień później (17.12.) zgromadziliśmy się w przestronnych murach wydziału MIM UW na klubowej Wigilii. Tradycyjnie rozpoczęliśmy od przygotowanych przez kursantów Jasełek. Dali popis swych aktorskich umiejętności, odgrywając scenę narodzin małego Cypiska w namiocie, pośród beskidzkiej zawiei. Dopracowane kostiumy, realistyczna scenografia i swobodna narracja zawały o sukcesie tego spektaklu.

Na Wigilii tegoroczna kursantka Marta Sikora po raz pierwszy dała się poznać szerszemu gronu od kulinarnej strony swoich talentów. Zrobiła przepyszne, różowo-zielone ciacho (niestety brak zdjęć – trzeba przychodzić na SKGową Wigilię). Na spotkaniu ustępujący zarząd wyrażał serdeczne podziękowania dla wszystkich zaangażowanych w działalność klubową – instruktorów, przewodników, ekipy slajdowej i biuletynowej; wyróżnił Pawła Marciniaka za wsparcie i pomoc w trudnych chwilach, Maćka Warchałowskiego za zorganizowanie największej liczby rajdów (5) oraz Pawła Nowakowskiego za propagowanie słowem i własnym przykładem integracji wewnątrz klubowej.



Uśmiech! Wigilia klubowa 2014.



Dziewczyna ratownika.

Sylwester w Szczyrku (27.12.2014-01.01.2015) – artykuł sponsorowany ☺

Dwie Conchity Wurst, Jonh Lennon, David Bowie, Tina Turner, Madonna, Bob Marley, Amy Winehouse, Audrey Hepburn, Doda, Bob Dylan, Maryla Rodowicz, Rudi Schubert, Kazik z Kultu i inni opanowali Szczyrk w nocy 31.12.2014/01.01.2015

Przez kilka poprzedzających to wydarzenie dni maskowali się pod zaśnieżonymi czapkami, goglami i kaskami, by tej ostatniej nocy 2014 roku się ujawnić.

Wszystko zapowiadało się jak coroczny wyjazd sylwestrowy SKG. Były góry, narty, snowboardy i oscypki. Nawet widoki na Tatry ze Skrzycznego, zdobywanie Babiej i pierwsze w życiu narty na nogach. Śnieg niestety nie był tematem, nad którym można by się długo rozwodzić, szczególnie na początku wyjazdu, gdy wszyscy śnieżni szaleńcy opanowali jedną ośłą łączkę... Koniec końców każdy był zadowolony, bo z dnia na dzień śniegu przybywało, zjeżdżało się coraz więcej gości, a integracja rosła w siłę. Jednak nikt nie przypuszczał, że na imprezę sylwestrową zagości tyle gwiazd i catering z pysznym jedzeniem – kanapki dekoracyjne, tymbaliki z drobiu, roladki mini, sałat-

ka z tortellini, „ą” i „ę”. Wszystko to zasługa Pauli Kocot (nowej Pani Prezes), która trzymała pieczę nad organizacją tego zamieszania.

Znany z ambitnych rajdów Michał Pluta i tym razem nie zawodził – ledwo co sylwestrowicze zdążyli się obudzić po szalonej, przetańczonej nocy Nowego Roku, przewodnik zabrał kilkusobową grupę na Rajd Posylwestrowy (1-6 stycznia). Wędrowali najbardziej widokowymi grzbietami Beskidu Śląskiego i Żywieckiego, podziwiając nie tak znowu odległe Tatry i zasypiając każdej nocy w ciepłym górskim schronisku, a jednego wieczoru nawet wygrzewając się w saunie! Relacja na stronie 14.



David Bowie, Bob Dylan, Conchita nr 1, Tina Turner, Conchita nr 2.



Jednodniowa pętla wokół Szczyrku w czasie Sylwestra.

Między 17 a 18 stycznia jakże kochający góry zimą, a jednocześnie chcący dobrze wypaść na zimówce kursanci, pojechali w Beskid Niski na przedzimówkową kursówkę, którą jeszcze na kilka dni przed rozpoczęciem nazywali kursówką „bezinstruktorską”. Dlaczego tak było i jaki był finał tego przedsięwzięcia, opowiada jeden z jej uczestników – Paweł Nowakowski na str. 9.

Przez dwa miesiące (luty – marzec) SKG patronował kursowi zimowej turystyki wysokogórskiej w Tatrach. Bazą wypadowo-odpoczynkową było schronisko Morskie Oko, instruktorem – Wiesiek Madejczyk, a głową operacji Gosia Grabowska. W trakcie 4-dniowego szkolenia uczestnikom jak zawsze najwięcej radochy sprawiło kopanie jamy śnieżnej i spędzenie w niej nocy ze wszelkimi udogodnieniami cywilizacyjnymi – termosem i smartfonem, który na bieżąco dostarczał światu porcji świeżych wieści z serca Tatr.



Czekany w dłoń i na Mniszka!

W połowie lutego, nomen-omen w Walentynki (14-15 luty) Maja Stelmach poprowadziła rajd w Beskidzie Śląskim, wokół uzdrowskiej Wisły i Ustronia. Jej grupa zawędrowała na Czantorię Wielką, Mały Stożek i Równicę, i przenocowała w przytulnej chacie Telesforówka na Trzech Kopcach Wiślańskich (810 m n.p.m.).

Między 7 a 15 lutego odbyła się długo wyczekiwana Zimówka poprowadzona tradycyjnie przez Pawła Marciniaka, tradycyjnie w Beskidzie Niskim, tradycyjnie z ciepłym noclegiem w Jaśliskach ☺. Jako instruktor na praktyce pojechał Jędrzej Witkowski.



Ognisko nie chce płonąć. Zimówka 2015.

Sekcja rozruszana!

17 lutego Maluch (Magda Wierzbicka to jej prawdziwe imię ;-) zorganizowała pierwsze spotkanie Sekcji Wysokogórskiej. Wielu chętnych, masa pomysłów i czekających spełnienia marzeń oraz pełna werwy i zaangażowania nowa prezeska Sekcji (Maluch) sprawili, że odrodzona sekcja ruszyła z impetem na zdobywanie szczytów. Nie można nie wspomnieć, że poza planowanym wakacyjnym wyjazdem w Alpy i w skałki, Sekcja spotykała się regularnie na ścianie wspinaczkowej (w czwartki w godz. 18-21 w liceum im. Lelewela) oraz w każdy pierwszy wtorek miesiąca o 20:00 Maluch organizuje bardzo ciekawe Spotkania z Filmem Górskim. Warto też śledzić klubowe forum, na którym można podpatrzeć poczynania Sekcji.

Ślodyczo-mejker to inicjatywa zarządu, która 25 lutego przyciągnęła łasuchów i mistrzów kuchni do degustacji ciach. Spośród przysmaków wyłonione zostały dwa najlepsze wypieki – babeczki z kremem Marty Sikory oraz

czekoladowiec Magdy Czarneckiej. W nagrodę dziewczyny dostały książki o kuchni biwakowej – jak widać warto brać udział w klubowych konkursach – notka sponsorowana ☺.

Karnawałówka 28 lutego 2015

Postacie filmowe to motyw przewodni tegorocznej Karnawałówki, która zakłóciła nieco ciszę nocną w jednym z bloków w Piasecznie. Mieszkanie kursantki Marty Sikory przemieniło się tego wieczoru w po-oscarową galę SKG-ową.



Michał Pluta (w tle spon- Kasia – bohaterka filmu
sorzy). dokumentalnego o ludach

Saami.

Goście nie dali plamy – pojawili się licznie, pomysłowo i cudacznie poprzebierani. Choć dywany były zwinięte, przechadzały się takie sławy jak Pluto-Avataro-Papa Smerf, Kot w butach, średniowieczny rycerz ze swą damą serca, Lara Croft, Indiana Jones, Hannibal i jego milcząca ofiara, Neo, Esmeralda, Pani Doubtfire, Rumcajs, Mariolka, Pippi oraz Laponka z filmu dokumentalnego o ludach Saami.



Hannibal ze swoją milczącą Dzielnym rycerz
ofiara. swojej damy serca.

Nie można nie wspomnieć o sponsorach, którzy wsparli organizację tego wieczoru. Jednak jedynie SKG stać było na wydruk swojego logo w kolorze. To już jest, proszę państwa, tradycja, że nas stać. Nie dziwi zatem fakt, że karaoke i tańce zeszły na dalszy plan, gdy tuż za ścianą działy się niepojęte rzeczy – jedzenie! Owe znakomitości przygotowała znana ze swojej kulinarnej pasji i umiejętności Marta Sikora z pomocniczkami, które włożyły mnóstwo serca i pracy, by przekąski świetnie smakowały i wyglądały.

Na środku pokoju siedział Paweł Nowakowski, niczym prorok z trzecim okiem w kształcie podobnym do logo SKG, przenikającym rzeczywistość. Siedział tak i opowiadał o zimówce i swoich sposobach na to, jak zmieścić 5 osób do 3-osobowego namiotu, z czego cztery z nich to dziewczyny, a piąta – oczywiście Paweł. Aliści znaleźcie przypowieść o skrytadkach? To historia o przekupstwie młodych dziewcząt czekoladą w długą zimową noc, w oddalonych od najbliższych ludzkich osiedli o wiele godzin przedzierania się przez zasypany śniegu, górach. To opowieść o relacjach silniejszych od beskidzkich mrozów i bardziej płomiennych niż skry rozpalanego po trzykroć ogniska. To arcydzieło czeka na swoją ekranizację.



Paweł Nowakowski Profet.

W weekend 14-15 marca klubowy leśnik rodem z Jaślisk, czyli przewodnik Maciek Warchałowski we własnej osobie, zabrał mieszczuchów w Beskid Sądecki na II Zimowy Rajd McRelli. Jak nazwa pięknie to obrazuje, wyjazd miał mieć charakter ściganta, jednak torowanie w śniegu uniemożliwiło pierwotne założenia. Nie zabrakło za to zjazdów na jabłuszkach, zamglonych widoków z wieży widokowej na Eliaszkówce i imprezy urodzinowej gospodarza w Chatce na Magórach ze słynną już, i niekończącą się chyba nigdy, Maćkową bżówką.

W ten sam weekend kursanci doksztalcali się w dziedzinie ratownictwa medycznego na Medykówce. Z roku na rok widać tendencję do wzbogacania weekendów spędzanych w Dalekiem-Tartak.

W zeszłym roku kursanci kupili sobie grilla, który później zaginął. W tym roku wozili się terenówką. Co czeka nas za rok? Samolot? Helikopter? To zależy od świeżej

krwi, która zasili szeregi Klubu na kolejnym XXXV KPG.



Medykówka. Widać, że dobrze im się powoziło ;)



Medykówka. Cała drużyna!

Długo wyczekiwany Rajd Wielkanocny już za nami!

Grupy klubowych przewodników: Mai Stelmach (trasa Cisna-Wetlina-Ustrzyki Grn.), Michała Wangrata i Marka Paleskiego (Bieszczadzkie Połoniny M&M's) i Maćka Szuby (Gwiezdny spacer) w weekend 21-22 marca udały się w przykryte szalenie śnieżną kołdrą Bieszczady. Z relacji biuletynowych tajników wiadomo, że pogoda (przynajmniej pierwszego dnia) dopisywała, a uczestnicy dzielnie zmagali się zaspami śniegu i z pioruńsko silnymi wiatrami na połoninach.

Wspólna grupa Marka i Michała wędrowała w rakietach śnieżnych, Maciek zabrał kilka osób na nocny spacer pod rozgwieżdżonym jak nigdzie indziej w Polsce niebem, a Maja została oficjalnie blachowana przez Maćka Warchałowskiego (już instruktora – gratulujemy!) na przewodniczkę SKG (również serdeczne gratulacje)! Niemalą gratkę sprawiło klubowiczom spotkanie z Grzesiem Kaczmarem (wcześniejszym Redaktorem Naczelnym Biuletynu), który od połowy stycznia chatkował w bacówce Pod Małą Rawką. Jak wieści donoszą, czuł się tam wreszcie wolny, szczęśliwy i ani myślał o powrocie do stolicy. Więcej o nowym życiu Grzeska na str. 31.



Grupa M&M's przed Bacówką pod Rawkami.



Blachowanie przewodniczki Mai Stelmach.



Yeti – kilkakrotny zdobywca Nordkappu.

go nic trudnego i przy bardziej sprzyjającej aurze ogień rozpalamy w try-mi-ga! Kto wie, czy nie cięższe warunki atmosferyczne miał tego dnia Yeti (Adam Cieślík), który

Pogoda na początku wiosny lubi płać figle, a co dopiero w Prima Aprilis, o czym przekonaliśmy się dobitnie podczas Klubowego Jajeczka 1 kwietnia. Deszcz i silny wiatr utrzymujące się przez ostatnie dni marca, dawały do zrozumienia, że z ogniska nad Wisłą w tym roku nic nie wyjdzie. Ten niepodważalny argument zadecydował o tym, że przedwielkanocne ognisko nad Wisłą zamieniliśmy na podziemia ASP (czytaj: spotkaliśmy się w Eufemii), ale i tak przyszło wielu klubowiczów i było supersympatycznie. Nic jednak straconego, bo dla chcącego

w ramach detoxu po tygodniach spędzonych nad prawymi druczkami i egzaminem na aplikację, udał się na autostopową wólcę po swojej ukochanej Skandynawii, zdobywając po raz kolejny najbardziej wysunięty na północ kraniec Europy ☺.

Wiosna



Rakiety na kursówce – Odpowiednie wyposażenie to podstawa.

11-12 kwietnia to kursówka przedwiosenna w Górcach prowadzona przez Tomka Wkeseja, (który na stałe powrócił na Ojczyzny łono). Jak napisał Tomek na forum „zwykle sezon kursówkowy kończy się w grudniu, ale niech to was nie zmyli!”. Udogodnienia cywilizacyjne (nocleg w Górczańskiej Chacie), kameralna grupa (5 osób) i profesjonalny sprzęt do przedzierania się przez śniegi (rakiety śnieżne) sprawiły, że kursówka nabrała charakteru de luxe ;)

Dzień otwarty na Uniwersytecie Warszawskim 25 kwietnia stał się w tym roku świetną okazją do koczowania w tzw. Kiosku SKG i do promocji Klubu. Tego dnia kilku Klubowiczów urządziło sobie na Kampusie Centralnym UW biwak z roztaczającym górską woń namiotem, zachęcając potencjalnych studentów UW do zasilenia Klubu po wakacjach oraz zapraszając na klubowe rajdy. Z pewnością niektórzy zwrócili uwagę na kiosk za sprawą małej Marysi, córeczki Gabrysi i Bartka Orłowskich, dzielnie koczującej ze swoją mamą (tzw. sposób na bobasa), wzrok innych przykuły nowe fantastyczne klubowe ulotki designed by Karusia®.



Dumna reprezentacja na Przejściu Wiosennym.

Kiedy inni błogo leniuchowali albo na luzie wędrowali po górach, najwytrwalsi kursanci przez cały tydzień mię-

dzy 25 kwietnia a 3 maja zmagali się z Przejściem Wiosennym w Górach Sanocko-Turczańskich i Bieszczadach. Pomimo mało licznej grupy (rekord został pobity – pojechało 4 kursantów) instruktor Michał Strzelczyk i instruktorka na praktyce – Grażyna Chlebicka, dali im porządną wy-cisk i tylko piękno rozkwitającej wiosny rekompensowało im ten love/hate relationship... oraz napotkany po drodze miś! Według relacji Madzi Czarneckiej ktoś dostrzegł w haśszczach czarną, włochatą łapę. Na początku kursanci nie dali wiary, że to niedźwiedź, ale po chwili zobaczyli go w całości na ścieżce! Nieśmiało i przestraszone stworzenie schowało się za kamieniem i ciekawsko wystawiało tylko łeb. Za to klubowy fantast – Paweł Nowakowski – widział to spotkanie zgoła inaczej. Pozostaje zgodność co do włochatej, czarnej łapy, lecz jak twierdził dalej, misio próbował ukryć się przed grupą za drzewem, ale mu nie wyszło, bo „drzewo było chudsze niż on”. Co więcej, z dwóch stron został otoczony i nie miał jak uciec! Dopiero gdy kursanci odstąpili misia, mógł się bezpiecznie rozplątać w leśnej głuszy. Jak widzicie hałuny na wiosennym to nieodłączna część wyjazdu. Koniec końców wszyscy wrócili z tej eskapady żywi ☺.

Super slajdy



Sala pełna gości na pokazie Piotra Strzeżysza.

W ciągu ostatnich miesięcy zawitali do nas nietuzinkowi goście. Dwa razy Robert Gondek opowiadał o swoim projekcie „W drodze na najwyższe szczyty Afryki”, zabierając nas do Afryki wschodniej, a następnie do Zambii, Malawi, Gabonu oraz na Wyspy Św. Tomasza i Książęcą. Także Paweł Kilen i Robert Zubkowicz dzielili się swoimi afrykańskimi przygodami – pierwszy z samotnego trekkingu wzdłuż rzeki Kunene w Namibii, drugi – z podróży po Etiopii. Na wielkim ekranie swoje zdjęcia z motocyklowej wyprawy do Korytarza Wachańskiego w Afganistanie prezentowała podróżnicza para – Marta Owczarek i Bartek Skowroński. Uśmiechnięta Angelika Charycka opowiadała o samotnej autostopowej podróży po Kanadzie (w gruncie rzeczy nie takiej samotnej, bo po drodze spotkała wielu niesamowitych ludzi, w tym rdzennych Indian). Fantastyczny pokaz dała peruwiańska ekipa w składzie: Beata Charycka, Tomek Wkesej, Agnieszka Skwierzyńska i Piotr Adamiak, którzy zrobili sobie trekking po Cordillera Bianca, weszli na sześciotysięcznik, eksplorowali amazońską dżunglę, zjeżdżali rowerami z przełęczy, raftingowali i przytulali leniwce oraz spotkali się z podróżującymi po Peru Klubowiczami – Olą Laszczką i Michałem Bekeyem ;).



After-slawdowe spotkanie w OSiRze z Piotrem Strzeżyszem.

Dwa tygodnie po powrocie do Polski z wielomiesięcznej podróży rowerowej po Ameryce Południowej Piotr Strzeżysz dzielił się wrażeniami z drogi z Alaski na Południe, pokazywał zdjęcia wszędobylskich kotów, 10-12 letnich dziewczynek (wie ten, o co chodzi, kto był na slajdach Piotra) i opowiadał o perypetiach z kontuzją kolana. A Ula Majewska barwnie opisywała małe i bardzo ciekawe państwo Ameryki Łacińskiej – Gwatemalę.

Po Świętach przyjechał do nas Kuba Rydkodým z prezentacją „Autostopem do Pekinu”. Następnie podróżnicza

para – Bożena Jarzyńska i Marcin Dobas, których magiczne fotografie urzeły nas do głębi, opowiadali o pełnej niespodzianek Islandii. Uwolniony spod jarzma korporacji, Szczepan Ligęza w telegraficznym skrócie zaprezentował roczną podróż dookoła świata z motywem zielonego jabłka – „The Epic Apple Journey Around the World”. Natomiast klubowa para – Mania Sosińska i Maciek Troć podzielili się wrażeniami z północnej podróży po Ameryce Południowej oraz pracy na plantacji bananów w Ekwadorze. W maju Hubert Krzemiński zdał relację z próby zimowego zdobycia szczytu Noszak w Hindukuszu, a tydzień później Maciek Czeszewski i Paweł Ciach barwnie opowiadali o Gruzji po sezonie – góry, wino i...

Poza tym slajdowi bywalcy poczułi wiosnę i poslawdowe spotkania w Eufemii i OSiRze nabrały rozpędu! Zapraszamy na nie bardzo serdecznie! Dobry humor i ból brzucha od śmiechu – gwarantowane!

Jakie są wakacyjne kierunki naszych Klubowiczów?

Magda Czarnecka wywalczyła sobie miejsce na stacji badawczej... na Spitsbergenie od końca czerwca do początku października! Sekcja Wysokogórska jedzie w Alpy, dzieląc się na grupę napierającą na najwyższy szczyt Europy i grupę trekkingującą. Co poniektórzy nie mogą się już doczekać Przejścia Letniego, a 10-osobowa grupa wybiera się na miesięczną przygodę do Mongolii. ■

Przedzimówkowa kursówka z Warchaćkiem

Paweł Nowakowski



Fitness, sport, uśmiech, moc!

Połowa stycznia, zimówka za pasem, przed kursantami XXXIV KPG ostatnia szansa na przygotowanie praktyczne do zbliżającego się przejścia zimowego, dla niektórych z nas ostatnia możliwość na wyrobienie minimum kursówek uprawniających do wzięcia udziału w przejściu zimowym. Dla innych jest to kolejna szansa na poprawienie umiejętności topograficznych i metodologicznych. W planach super instruktorzy, wspaniali współkursanci, świetne miejsce wyjazdu (Beskid Niski – Gniazdo Jawornika). Lecz na tydzień przed wyjazdem dramat – brak instruktorów (kontuzje-choroby). Komisja Szkoleń podjęła ważną decyzję – za tydzień Maciek Warchałowski poprowadzi swoją

pierwszą samodzielną kursówkę jako nowy instruktor. Dla przewodnika na praktyce instruktorskiej to pewnie trudne zadanie poznać, że jest się już gotowym do bycia instruktorem.

Nadchodzi dzień wyjazdu. W Warszawie późnojesienna pogoda – chłodno i sucho. O 22:00 ruszamy autobusem ku przygodzie, kierowca pędzi na urwanie głowy, w Krośnie jesteśmy godzinę przed czasem, a na miejscu śnieg i mróz. Krosno – wiata przed dworcem autobusowym. Czekamy około dwóch godzin na autobus PKS, który nie przyjeżdża. Jest bardzo zimno o 5 rano, jesteśmy nieźle zmarznięci i śpiący. Nie czekamy na spóźniony od godziny PKS, idziemy na autobus prywatnego przewoźnika, który po 30 minutach przywozi nas na miejsce spotkania z instruktorem. Świta. W Króliku Polskim czeka na nas Maciek W. na swojej debiutanckiej kursówce. Ruszamy w góry, szybki marsz, robi się ciepło. W końcu jest ciepło. Pierwszym celem jest Łazowa Góra, potem Bania Szklarska, w trakcie jakaś panoramka, następnie danie główne – Jawornik z wieloma jarami, w których można zburaczyć. Po kilku godzinach marszu docieramy na Jawornik, następnie ostry skręt na południe i Kanfiniarka (w Rewaszu przestrzegają, że teren jest wymagający i łatwo się zgubić), kolejny cel to Góra 632 i pierwszy burak tego wyjazdu – kierunek się zgadza, czas się zgadza, ale teren nie za bardzo ☹ Następuje zmiana prowadzenia i już po kilkudziesięciu minutach lądujemy na górze obok naszego celu, na wzniesieniu 650. Część kursantów po kilku godzinach chodzenia ma mokro w butach, stopy zaczynają nieznośnie piec (początki mózgotopia). Z góry 650 ruszamy do naszego celu 632 na azymut przez głęboki jar, niemalże biegiem. Zaczynamy być głod-

ni, za dwie godziny będzie zmrok, na przerwach wygłaszamy swoje referaty, instruktor omawia zagadnienia dotyczące jadalnych roślin występujących w lesie, a ja staję się tym bardziej głodny. Z 632 idziemy do Polan Surowiczych na wieczorny posiłek w bazie SKPB Styki. Po drodze spotykamy świeże ślady misia (jest styczeń, powinny od kilku miesięcy spać i, jak tłumaczył inny instruktor kilka tygodni wcześniej będąc na Jaworniku, najbliższy miś mieszka w Jasielu ☺). Przed posiłkiem i po dokładnej kontemplacji śladów misa ruszamy do zabytkowej dzwonnicy - pozostałości Łemkowskiej Wsi Polany Surowicze. Pobyt w bazie SKPB Styki mija szybko, odkrywamy piękną sławojkę stojącą u brzegów potoku Kanfiniarki, szum potoku umila korzystanie z wynalazku Premiera Składkowskiego (dobrze że nie piliśmy stamtąd wody, biegunka byłaby gwarantowana ☺). Po posiłku i kolejnych referatach ruszamy w góry, obieramy kierunek Garbki, humor dopisuje pomimo śladów misia napotkanych przed bazą. Z Garbek ruszamy na Polańską, w drodze na górę Dział znowu burak i to na szlaku Jaga-Kora (szlaki nie zawsze pomagają, czasem wręcz przeciwnie powodują buraka) oraz omamy wzrokowe Magdy (czegoś bardzo się przestraszyła). Instruktor tłumaczy nam o Podszeptach szepczących nam do ucha co byśmy zburaczyli, o Prypastnykach i innych istotach z Bestiariusza Łemkowskiego, po buraku kolejna zmiana prowadzenia. Odkrywam, że osoby z mózgowstopiem na swoich prowadzeniach biegają jak oszalałe (tak podobno mniej piecze, chyba?). Ruszamy z ogromnymi plecakami tempem sprintera w kierunku Wisłoczka i bazy SKPB Rzeszów -

tam będzie posiłek i może nocleg; minęło już kilka ładnych godzin i jesteśmy padnięci z wyjątkiem oczywiście osób na prowadzeniu i tych z mózgowstopiem. Ja za karę, że mapa wprowadziła mnie w buraka, wyrzucam ją na jakimś polu w cudzym buraku w okolicach Wisłoczka.

Około 3 nad ranem po kolejnym buraku lądujemy w bazie SKPB Rzeszów, zasypiam idąc, na szczęście nie trzeba rozstawiać namiotu, bo dzisiejszego ranka do snu wykorzystamy chatkę bazowego. Idziemy spać. Po kolejnych czterech godzinach snu pobudka, śniadanie składające się z kanapek zrobionych z błotnistego (po kilkudziesięciogodzinnej podróży w plecaku) chleba, śniadanie jest wręcz przepyszne albo jesteśmy bardzo głodni. Zjadamy wszystkie kanapki z wyjątkiem tej z masą czekoladową, keczupem i kiełbasą, aż tak głodni nie jesteśmy. Około południa wyruszamy w dalszą drogę trochę smutni, że to już prawie koniec kursówki. Idziemy na Wierch Tarnawski (po drodze jakieś zdjęcie), a potem idąc kolejnymi pipantami przemieszczamy się w kierunku Rymanowa-Zdrój. Nie mam mapy więc tę część drogi znam tylko pobieżnie ☺. Około 20 mamy autobus powrotny; w Rymanowie jemy pizzę, a instruktor Maciek robi omówienie kursówki. Wizyta w wodopoju z różnymi wodami leczniczymi - pachną zupełnie jak ta nasza warszawska kranówka made by W. Lindley. Wziąłem 6 litrów śmierdzącej wody, którą rozpijamy jeszcze w autobusie w drodze do Warszawy. Jesteśmy wyczerpani fizycznie, ale baterie psychiczne naładowane na kolejne dwa tygodnie. Byłe dotrwać do zimówki. ■

Larwa – stadium pośrednie między kursantem a waletem

Czyli Przejście Wiosenne XXVI KPG

Karolina Witrowa (wtedy Nowicka)

Kiedy mówiłam komuś, że rok po własnym kursie wybieram się na kolejne Wiosenne jako walet, ludzie patrzyli na mnie co najmniej dziwnie. Bo właściwie po co? Na własną prośbę zmęczyć się, łaźić po nocy, spać po 4 godziny, śniadanie jeść na kolację i ubierać się w płaszcz jak pada... Nie dałam się subiektywnym komentarzom mięczaków i ruszyłam po raz pierwszy zobaczyć jak to jest być tym sławnym kursowym waletem, co zniesie wszystko i nie jest mu, co zaskakujące, tak niewygodnie jak innym.

* * *

Dojeżdżałam z trzydniowym opóźnieniem za pomocą niezliczonej ilości środków lokomocji, wliczając w to głośnego Włocha zapraszającego w Króliku Polskim do swego auta typowo włoskim hasłem: „Andiamo!”. Udało mi się przekazać, że: „Do Jaślisk! Si, si!”, gdzie miałam powitać już szarżującą grupę wiosennych kursantów wraz z instruktorami. Na hasło, że schodzą właśnie z Tokarni, świat przesłoniła mi czarna plama. Po jaką cholere kazali mi przyjechać do Jaślisk, skoro Tokarnia, na którą sama rok wcześniej prowadziłam, bliższa jest bardziej Komańczy niż Jaśliskom? Myśl, że w okolicy może być więcej Tokarni, nie wpadł mi do głowy... Na rynku w Jaśliskach, gdzie mój kurs mógł być znany z tego, że zwałił świecę paschal-

ną w kościele, spotkałam troje dezerterów-waletów, którzy postanowili jednak wracać do domu. Z szeroko otwartymi oczami i paszczą wybiegłam na powitanie mojej docelowej grupy. Zadziało się wówczas coś na kształt rytuału przyjęcia do plemienia, ponieważ mnie obwąchano i powiedziano, że jest źle, bo nie śmierdzę ogniskiem jak reszta. Wkupiłam się jednak w łaski za pomocą własnoręcznie upieczonej szarlotki.

* * *

No i się zaczęło. Po pierwsze, trzeba było złapać klimat, który panował od pierwszego dnia. Od razu mnie okrzyknięto larwą walecią, co początkowo wzbudzało moje podejrzenia, ile i czego oni się nawdychali. Ruszyliśmy w las. Najpierw burak, potem większy, no i tzw. megaburak! To jest to! Wiosenne jak się patrzy. Nikt nic nie wie, a instruktorka milczy! Przeszliśmy kilkanaście razy obok tego samego drzewa, ale żeby było jeszcze trudniej, to po powalonych gałęziach, pniakach i wszystkim, co udało się znaleźć jako naturalną przeszkodę. Pojawiło się nagminnie powtarzane hasła: NNA oraz NKWD¹. Przy obiedzie powstał naturalny podział na larwy (ja) i flądry (kursanci), które miały walczyć na gołe pletwy, a także wędzorki (wędzona instruktorka – MCT). Megaburak był bardzo płodny w szeroko pojętą twórczość artystyczną, która wy-

¹Natura Natarczywie Atakująca i Natura Kłująca W D...

pływała wprost z mega, jak ten burak, wyobraźni towarzyszy podróżników. Od tej pory plecaki miały swoje nazwy: mój – Radzio („Bo my z Radziem...”), Madziary – Cyc (nie komentujemy...), Marty – Rolnik (sam w dolinie), Maciek miał Wieśniaka (straszna z tego draka), Anki to Niuniek, no i ta najpiękniejsza – Arka Lafirynda, co wielka jest jak winda... Na podstawie niemal każdej melodii, która wpadła nam do ucha, ułożyliśmy wspólnie kilkanaście piosenek, z których tylko nieliczne, acz dopieszczone, trafiły do notatnika i na forum klubowe. „Łemata o mielonce i pasztecie”, „Taki Arek z Lafiryndą może zamkiem być”, „Wszystko się może zdarzyć, Madziara może zjarzyć” – to tylko przedsmak naszej kreatywnej twórczości. Arek ochoczo raczył nas także uświadamiać podczas marszu, że na pewno chcemy się rozebrać, bo mamy czerwone ryje. Gdybym zapisywała każdy tekst, który wprawiał nas w ataki głupawki, musiałabym nosić 96-kartkowy brulion, bo jak nie zanotować pytania Arka do grupy: „Czy ktoś może chciałby wylizać resztki Amelii?” (dla czytających z wyobraźnią dodam, że to czekolada z Biedronki) lub powiedzenie wędzorki do Anki: „Gołe było, to se dotkłam...”.

* * *

Podczas jednego popołudnia postanowiłyśmy wraz z Martą uknuć pewien świetny plan. Poinformowałyśmy grupę, iż jesteśmy arcyłaskawe i pozwalamy na nocleg w nocy, co od razu zostało odebrane jako spiszek i zamach na życie biednych kursantów. Tym razem się nie pomylili, była to najzimniejsza noc podczas nie tylko całego wyjazdu, ale i chyba całego maja. Termometry we wsi pokazywały -7 stopni. Jako doświadczony przewodnik postanowiłam zaradzić spadkowi temperatury i wprawiłam w ruch NRC-tkę. Może by zadziałała, gdybym nie owinęła się nią odwrotnie niż nakazuje zasada. Rano obudziłam się w mokrym śpiworze, przymarznięta do podłoża, a kursanci chcieli nas wystrzelać jak kaczki i z oburzeniem raczyli nas powiadomić, że oni już więcej nie chcą spać w nocy! I co to w ogóle za pomysły! Na szczęście udało nam się umówić z Panią Pogodą i przez cały następny dzień była niesamowita lampa. W dodatku szliśmy niemal cały dzień po odkrytym grzbiecie. Arek zhandlował napotkanym turystkom swoją mapę Niskiego, bo za chwilę mieliśmy znaleźć się już na bieszczadzkiej. Pokazał nam także Tofika – rzecz jasna w swej niezaprzeczalnej „akalickości”.

* * *

W Komańczy było mało ruchawe szukanie busa do Cisnej, leżenie w parku, eskapady do sklepu i do muzeum, w którym, jak zagaił prowadzący, można obejrzeć jakieś regionalne szmaty. Kiedy okazało się, że busa w całej Komańczy nie ma i nie będzie, pozostało nam jedno czekać na PKS.

W Cisnej, jak to w Cisnej – Siekierzadę mija się szerokim łukiem i zaczyna się myśleć o niepowtarzalnym Łopienniku, na którego wiedzie mozolna, zaopatrzona w jary i mylne ścieżki droga. Niepojętym był dla nas fakt, że na drodze, którą jeszcze rok wcześniej przemaszerowało trzy razy liczniejsze Wiosenne, ktoś postanowił zrobić sobie zagrodę dla koników. Wyjąc do wielkiego księżycza postanowiliśmy sforsować przeszkodę, nie zważając na pasące się nieparzystokopytne. Te jednakowoż zainteresowały się nami i pyrgały nas pyskami, co spowodowało przyspieszone tempo opuszczania zagrody. Zmajstrowaliśmy szybki

obiad z długim oczekiwaniem na wodę, po czym, kiedy po raz setny zaśpiewaliśmy z Martą „Mezi horami”, Anka nie wytrzymała i na postoju w półśnie groziła nam zrzuceniem ze skarpy, o ile takową tu znajdzie.

* * *

Na przełęczy przed Łopienką byliśmy bladym świtem. Grupa ledwo trzymała się na nogach, ja poczułam sentyment do ubiegłego roku i wdychałam rzewnie do okolicy. Dziewczyny majaczyły coś o tym, że właśnie widziały cerkiew, a któraś wypatrzyła nawet PGR (przypominam, że był to wyjazd bezalkoholowy). Wchodząc o 6.20 do Łopienki Madziara wypowiedziała kultowe zdanie: „23 godziny 20 minut na nogach. I to jeszcze nie koniec... Zapisz to!”. A potem, pod nosem, patrząc na rozbite tam namioty: „Śpią, świnię... Zamiast chodzić po górach...”. Zombikursanty szybko położyły się spać, a my knułyśmy dla nich trasy manewrowe. Same postanowiłyśmy się zdrzemnąć w samo południe, a słońce zjarało nam część twarzy. Na bazie pojawił się także Książę ze współtowarzyszką oraz Słoń, który upominał nas radośnie, że nasze śpiewy słychać aż pod cerkwią w Łopience.

* * *

Kursanci wrócili w podejrzenie krótkim czasie, dziewczynom nawet chcieliśmy jakoś bardziej na siłę odciąć dopływ zasilania, bo jedna się zakręciła jak sokowirówka, a druga opowiedziała nam o swojej wizji manewrowej jakoby miała widzieć na szlaku kajakarzy. Zebrawszy graty posuwistym tempem udaliśmy się do najlepszej naleśnikarni, w jakiej kiedykolwiek jadłam. Dodam, że naleśniki. Wariacjom smakowym nie było końca. Wyposzczeni na ryżu i mielonce odreagowywaliśmy przednio. Nastąpiło oficjalne omówienie i wynikiem 2:3 zakończyło się spotkanie zaliczające Przejście Wiosenne.

* * *

I nastąpiło to, czego tygryski nie lubią najbardziej – powrót do domu. Cóż... Wiosenne jakie jest, nie każdy widzi. To trochę inny, hermetyczny świat. Ja go widziałam już trzy razy. Nie żałuję. Polecam. I pojedę znowu!

Wycinek radosnej twórczości uczestników Przejścia Wiosennego. Ciąg dalszy na str. 30.

Na melodię: Jolka, Jolka

Larwo, larwo pamiętasz,
wiosenne ze snów,
gdy jęczałaś – Tak mi źle!
wyrwij się z tego jara – mówiłaś mi
nie słuchałem twej rady, o nie...
Żebrząc o butlę plusza
gnałem przez noc
plecak rzeził ostatkiem sił
– rozpal mi tu ognisko, juma mi daj,
nie zostawiaj mnie w jarze, już dziś...
Eeeeeemigrowałem
z namiotu nad ranem
całą noc gnałem
w południe znów wracałem.
Dane nam było
świt spojrzenie
następne będzie, za noc albo dwie... ■

Trochę wakacji w Stanach

Czyli co można zobaczyć w Kalifornii w tydzień

Magda Bojarska

W ostatnie wakacje miałam okazję spędzić trzy miesiące w USA jako praktykantka w jednej z firm informatycznych. Oczywiście, głównym celem pobytu była praca, nie można jednak przecież zmarnować takiej okazji do zobaczenia kawałka innego kontynentu. Dlatego też, po zakończeniu pracy wybrałam się na tygodniową wycieczkę samochodową po Kalifornii. Dlaczego akurat tam? Przyszłam, że zawsze zazdrościłam moim znajomym, którzy, pracując w Kalifornii (ja pracowałam w stanie Washington, na północy USA), mieli okazję odwiedzić tamtejsze parki narodowe. Oczywiście istnieje jeszcze wiele, wiele miejsc wartych zobaczenia w Ameryce, ale jest ich za dużo, aby zobaczyć wszystko w trzy miesiące, a co dopiero w tydzień.

Tydzień wakacji rozpoczęłam w Los Angeles. Jak wcześniej zostało wspomniane, głównym celem wycieczki były parki narodowe, niemniej, z i do miejsca mojego zamieszkania w Stanach do Kalifornii podróżowałam samolotem, toteż początek i koniec trasy znajdowały się w miastach. Wybór miasta startowego był taki, a nie inny, z prostej przyczyny: tam najtaniej dało się wypożyczyć samochód ☺. Oczywiście nie jest to styl podróżowania prawdziwego wędrowca żadnego przygód, ale niestety przy mocno ograniczonej ilości czasu i napiętym planie, było to jedyne sensowne wyjście. Zwiedzanie LA oparło się głównie na głównych atrakcjach turystycznych jak Hollywood, Dolby Theatre (miejsce wręczania Oscarów) i wielkim, białym napisie Hollywood, z którym każdy „szanujący się” turysta musi zrobić sobie zdjęcie. ... Udało mi się też przejechać się metrem i pochodzić po dzielnicy wieżowców. Najmilej jednak wspominam wieczorny spacer po jednej z plaż nad Pacyfikiem. Panowie, jeśli kiedyś będziecie w okolicy i będziecie chcieli zabrać swoją wybrankę na romantyczny spacer, jest to chyba najlepsze miejsce do takich celów w całym Los Angeles. ☺

Pierwszym parkiem narodowym na mojej trasie był Joshua Tree National Park położony około 200km od Los Angeles na pustyni Mojave. Jak łatwo się domysleć, nazwa pochodzi od porastającego park (choć w przypadku pustyni to chyba trochę za mocne słowo) drzewa Joshua tree, czyli, tłumacząc na polski, drzewa Jozuego. Podanie mówi, że nazwa ta została nadana przez grupę mormonów, którym kształt skojarzył się z Jozuem wznoszącym ręce do Boga w modlitwie podczas jednej ze starotestamentowych bitew.

W tym miejscu pewnie warto wspomnieć o tym jak wygląda park narodowy w Stanach z punktu widzenia zmotoryzowanego turysty. Otóż przez teren parku poprowadzona jest droga, wzdłuż której znajdują się główne atrakcje turystyczne (ew. czasami przyjmująca kształt litery T). Z obu stron postawiona jest budka dla Rangersów (mimo zbieżności nazwy, nie mamy w tym miejscu do czynienia z wojskowymi, tak nazywa się też parkowych strażników), w których pobierana jest opłata za wjazd. Co ciekawe, opłata, wynosząca 10-20 dolarów, pobierana jest od samo-

chodu, a nie od liczby osób wjeżdżających na jego teren. Dodatkowo, otrzymuje się tam niewielką mapkę z zaznaczonymi najważniejszymi atrakcjami oraz skrótowy przewodnik po nich w formie gazety. Większość atrakcji przeważnie oddalona jest od drogi o nie więcej niż 15 minut piechotą. Zdarzają się też większe odległości, ale wtedy zwykle są wkomponowane w ścieżkę edukacyjną, w wielu miejscach wyasfaltowaną. Oczywiście, istnieje też możliwość odbycia normalnych wycieczek, ale do tego przydaje się już prawdziwa mapa parku, którą można nabyć między innymi w Visitor Center, czyli centrum turystycznym parku. Często warto do niego zajechać i porozmawiać z jego pracownikami, gdyż są oni w stanie bardzo dobrze doradzić, co jest najbardziej warte zobaczenia.



Krajobraz parku Joshua Tree.

Wracając jednak do parku Joshua Tree, muszę przyznać, że krajobraz górskiej pustyni zapamiętam na długo. Miałam szczęście do dobrej pogody, więc widoczność była znakomita. Toteż z jednego z punktów widokowych doskonale było widać góry położone aż w Meksyku. Dodatkowo, zwiedzając jedną ze ścieżek przyrodniczych (na szczęście taką nieasfaltowaną i na tyle długą, że można było to uznać za przyjemny spacer) trafiłam w miejsce, gdzie znajdują się oryginalne malowidła Indian zamieszkujących te tereny kilka tysięcy lat temu. Nieogrodzone – po lekkiej ekwilibryście dało się wejść na skałę i zrobić zdjęcie z bliska, a jednocześnie nie zauważyłam obok napisów w stylu: „Jola tu była”. Nie mogłam sobie też odmówić wycieczki na jeden ze szczytów. Zarówno papierowy przewodnik jak i miła pani w Visitor Center ostrzegali mnie, że planowana przeze mnie wycieczka jest trudna, trzeba zabrać ze sobą dużo wody i zajmie ona około 2-3 godzin. Łatwo się domysleć, spacer ten zajął mi półtorej godziny wliczając w to przerwę na zjedzenie kanapki i podziwianie zachodu słońca.

Kolejnego dnia udałam się do Sequoia National Park w południowej części gór Sierra Nevada. Park ten słynie z rosnących w nim sekwoi olbrzymich, zwanych też mamutowcami olbrzymimi. Przymiotnik w każdej z nazw dobrze

oddaje, co jest główną cechą tych drzew. Tak, jest to gatunek drzew iglastych, uznawanych za największe drzewa świata – mają około 100m wysokości i ponad 10m średnicy. W samym parku znajduje się tzw. Las Olbrzymów, gdzie można znaleźć pięć z dziesięciu największych pod względem objętości drzew świata, w tym największe z nich – General Sherman Tree. Co mnie dość mocno zaskoczyło, to z daleka nie bardzo odczuwa się ogrom tych drzew – dopiero podejście do nich na odległość kilku metrów pozwala zauważyć jak bardzo różnią się od „normalnych”.



Sekwoja przepołowiona uderzeniem pioruna i mały człowieczek. ©

Położenie parku w górach dostarcza również przepięknych widoków oraz wielu możliwości na prawdziwe górskie wycieczki. Trzeba być jednak świadomym, że dzika przyroda w Stanach jest dużo mniej przetrzebiona niż np. w Polsce. Turysta przybywający do parku jest ostrzegany na każdym kroku o możliwości bliskiego spotkania z misiem. I wydawać by się mogło, że to ostrzeżenia w stylu tych w naszych Tatrach. Jednak przyznaję, chęć do samotnej wycieczki w głębsze partie lasu szybko mi przeszła, gdy zobaczyłam czarnego niedźwiedzia spacerującego sobie 10m od parkingu, na którym zostawiłam auto. A pół godziny później niedźwiedź z młodymi szukającą pożywienia wzdłuż głównej drogi parku. . .



Bohater tego zdjęcia przechadzał się ok. 10m od mojego samochodu. . .

Zgodnie z zasadą powstałą podczas tej podróży, że należy odwiedzać jeden park narodowy dziennie i codziennie obserwować zachód słońca w ciekawym miejscu, następnego dnia udałam się na północ stanu Kalifornia, aż pod granicę z Oregonem, do Lassen Volcanic National Park. Jak znów łatwo się domyśleć, tym razem odwiedziłam tereny wulkaniczne. Park zbudowany jest wokół czynnego wulkanu Lassen Peak (ostatnio wybuchł w 1915 roku) i jego głównymi atrakcjami są gorące źródła siarkowe, „gotujące się błoto” i oczywiście pozostałości po ostatnim wybuchu. Na sam główny szczyt również prowadzi szlak turystyczny. Niestety ze względu na dewastację tego szczytu przez turystów (m.in. przez schodzenie z wyznaczonej ścieżki), ostatni jego odcinek dostępny jest tylko kilka razy do roku, aby pozwolić naturze odbudować zniszczenia. Tu, przyznaję, okazało się, że nie miałam szczęścia, gdyż rozminęłam się z możliwością wejścia raptem o kilka dni. Mimo to, możliwość obejrzenia źródeł geotermalnych, zasilanych ciepłem lawy pobliskiego wulkanu jest warta pojechania do tego parku. Oczywiście, nie byłby to amerykański park, jeśli nie istniałoby w nim mnóstwo tabliczek przypominających, że źródła są naprawdę gorące i co roku kilka osób odnosi poważne oparzenia ignorując zakaz chodzenia tylko po wyznaczonych pomostach. Coś chyba w tym musi być, skoro jedno z takich miejsc, o wdzięcznej nazwie Bumpass Hell (po polsku: piekło Bumpassa), zawdzięcza swoją nazwę właśnie takiemu wypadkowi. Jego odkrywca, Kendall Bumpass, stracił nogę przez to, że przebił się przez cienką warstwę ziemi i zapadł się nią we wrzące błoto. Zdaje się, że druga część nazwy wzięła się od tego, jak pan Bumpass określił to miejsce po swoim wypadku. . .



Gorące źródła w Lassen Volcanic.

Wreszcie, ostatnim etapem wycieczki było udanie się do, bodajże, najsłynniejszego parku narodowego Kalifornii – Yosemite, przejeżdżając po drodze przez San Francisco i porywając przy okazji towarzysza kolejnych dwóch dni, Arka, kolegę pracującego w Dolinie Krzemowej. Sam przejazd przez San Francisco, z powodów ograniczeń czasowych, był krótki. Cóż, nie polecam nikomu przejazdu przez ścisłe centrum tego miasta w godzinach szczytu – głównym celem każdego kierowcy jest dostać się na autostradę we właściwym kierunku (wybór niewłaściwego może się np. skończyć wjazdem na most, który jest płatny), ze zdecydowanie mniejszym poszanowaniem komfortu po-

zostałych kierowców. I samo wjechanie na autostradę, jak mogłoby się wydawać, nie powoduje wcale rozładowania napięcia na drodze – korki na pięciopasmowej autostradzie to zjawisko powszechne w godzinach powrotów z pracy...

Zważywszy, że plany na Yosemite obejmowały dwa dni, zdecydowaliśmy się nie wyjeżdżać z parku na noc i spędzić ją w namiocie na jedynym kempingu w parku, na którym nie trzeba wcześniej rezerwować miejsc (na dziko spać nie wolno, nawet w samochodzie). W związku z tym, potrzebowaliśmy na początek kupić jedzenie oraz uzupełnić wyposażenie turystyczne. Każde z nas miało śpiwór i karimatę, namiot pożyczaliśmy od znajomego. Jednak kupowanie, oprócz ryżu, sosiku czy chleba, także garnka i drewnianej łyżki nie występuje na mojej standardowej liście rzeczy do zrobienia przed wyjazdem w góry. Początkowo plan pobytu w parku obejmował wejście na jego najsłynniejszą górę Half Dome (z angielskiego oznacza to dosłownie połowa kopuły – w rzeczywistości jak dla mnie jest to bardziej jej ćwiartka...). Niestety na ostatni odcinek, zabezpieczony stalowymi linami (tzw. kable) trzeba mieć pozwolenie, które zdobywa się przez internet w loterii dwa dni wcześniej. My nie mieliśmy szczęścia. Dlatego też zdecydowaliśmy o zmianie planów wycieczkowych – pierwszego dnia poszliśmy na kilkugodzinną wycieczkę w górę wodospadów, które jednak okazały się wyschnięte. Na tyle, że na górze, tam gdzie powinien być strumień, z którego one wypływają, była tylko mała, wysychająca kałuża. W sumie nie powinno to dziwić, tego lata w Kalifornii panowała duża susza... Plan był taki, aby pierwszego dnia pójść na lekką wycieczkę, bo następnego dnia planowaliśmy wstać wcześniej, wejść na trzytysięcznik Clouds' Rest i jeszcze zdążyć tego samego dnia wrócić do domu Arka (ja następnego dnia miałam samolot powrotny, więc nie-spóźnienie się na niego było dla mnie dość istotne). Cóż, żadnemu z nas nie chciało się przeliczyć dobrze gotów i w rezultacie okazało się, że wycieczka, w założeniu lekka, była cięższa niż zaplanowany na następny dzień szczyt.

Noc spędziliśmy na planowanym kempingu. W momencie, gdy na niego dotarliśmy, był już niestety całkowicie zajęty. Kempingi w Stanach działają w ten sposób, że każdy człowiek ma wyznaczone miejsce, oznaczone numerkiem, na którym mieszczą się dwa mniejsze namioty lub jeden bardzo duży. Obok jest miejsce na ognisko oraz parking dla samochodu. Miejsca są w teorii niepodzielne, co w szczególności oznacza, że na kempingu może przebywać tyle

„grup namiotowych”, ile jest przewidzianych miejsc i nie da się wpełznąć „na dziko”. Na szczęście czwórka miłych wspinaczy, którzy spali w swojej ciężarówce, odstąpili nam swoje nieużywane miejsca namiotowe. Tutaj też na rękę poszedł nam bardzo opiekun kempingu, który, nie dość, że nie miał nic przeciwko takiemu rozwiązaniu, to jeszcze sam pomógł nam tych wspinaczy znaleźć.



Widok na Half Dome i jedną z dolin w Yosemite.

Kolejnego dnia odbyliśmy przyjemną wycieczkę na wspomniany wcześniej szczyt. Po drodze mieliśmy okazję oglądać z góry wypalone lasy Yosemite, a nawet w niektórych miejscach jeszcze dymiące. Pożary w tym parku to coroczny problem, z którym mierzą się mieszkańcy Kalifornii – ich powstawanie jest naturalne, ale szybkie rozprzestrzenianie się powoduje zagrożenie dla dużych obszarów stanu. Jako ciekawostkę dodam jeszcze, że przy każdym wejściu na szlak oraz na kempingach porożstawiane są tzw. food lockery. Są to metalowe skrzynki z fikuśnymi zamkami, do których wkłada się jedzenie na czas wyjścia na szlak – zostawienie go w samochodzie może grozić wizytą misia. A każdy śmietnik ma otwór wlotowy powyżej mojej głowy zamykany na klappkę zapinaną na karabińczyk. ☺

Jak widać, podczas tygodniowego pobytu w Kalifornii udało mi się zwiedzić cztery parki narodowe i dwa miasta, przejechać ponad 3000km samochodem oraz odkryć wiele pięknych miejsc w słonecznej Kalifornii. Jeśli miałabym taką możliwość, chętnie tam wrócę ponownie, tym razem może już bardziej „na dziko”, rowerem lub autostopem, z plecakiem i chęcią do przeżywania przygód... ■

O tym jak Diablak wygrał zanim stanęliśmy w szranki

Karolina Gnysińska

Zamiast leczyć doroczne noworoczne dolegliwości, 1 stycznia grupa – jak by na to nie patrzeć – śmiarków wyruszyła ze Zwardonia na cel obierając sobie Babią Górę. Nie na raz oczywiście, takie przejście byłoby znacznie utrudnione z uwagi na czas startu – 14:30 – i postsylwestrowy stan uczestników. Niemniej pierwszego dnia, objuczeni i w lekkim szoku spowodowanym nieograniczoną dostępnością świeżego górskiego powietrza, dotarliśmy do schroniska na Wielkiej Raczy. Trzeba przyznać, że dzięki sprzyjającym warunkom najwięcej czasu tego dnia pochło-

nęła nam kontemplacja widoku północnego stoku Wielkiej Raczy powoli szykującego się na nadejście mroźnej nocy. Przycupnięte niemal na samym szczycie schronisko dało nam tego wieczoru stawy i dostarczyło rozrywki w postaci łaźni półfińskiej. Półfińskiej a nie fińskiej właśnie, bo- wiem obsługa schroniska skrupulatnie pilnowała, aby nieroztropna młodzież – takie fiu bzdziu w głowach przecież! – nie wylatywała rozgrzana z sauny prosto na mróz...

Następnego ranka również odczuliśmy gościnność schroniska, które tak bardzo chciało nas zatrzymać jak najdłużej się da, że dostaliśmy informację, iż jakiegokolwiek szanse na śniadanie będą dopiero od 8, wrzątek też będzie

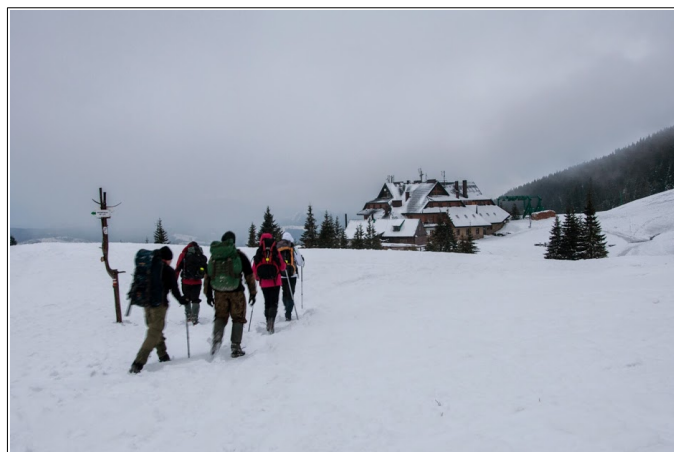
od 8, i w ogóle to do 8 to niczego nie będzie i w kuchni niczego nie załatwimy. Niczego! Jak już się udało opuścić Wielką Raczę i skierowaliśmy się szlakiem granicznym na Wielką Rycerzową, gdzie w okolicach pory obiadowej zostaliśmy uraczeni pożywną owsianką (to w zasadzie tyle można powiedzieć o tej i o każdej innej zaserwowanej na tym rajdzie owsiance, stąd też nie będziemy się nad nimi dalej rozkliwiać). Z czystym sumieniem można powiedzieć, że z przeuroczej, tłocznej i gwarnej baczki na Rycerzowej wyszliśmy tylko dlatego, że nie było już miejsc noclegowych. Ale cóż – ruszyliśmy dalej, w trasę, która okazała się być najdłuższą na tym wyjeździe – tego dnia finiszowaliśmy na podejściu na Krawców Wierch, gdzie dotarliśmy co najmniej późnym wieczorem. Choć trafiliśmy na kolację z tak zdecydowanym spóźnieniem, że w zasadzie to już nie było mowy o gotowaniu czegokolwiek, to jednak przemili pan zajmujący się schroniskiem przywrócił nam wiarę w ludzi gór i uratował nas od śmierci głodowej (względnie od jedzenia surowej kielbasy zagryzanej równie surowym makaronem). I tak oto wieczór upłynął w błogiej atmosferze leniuchowania po ciężkim trekkingu.



40 GOTów w śnieżnych zaspach (przewodnik 3 od lewej).

Dni trzeci i czwarty w zasadzie zlewają się w jeden. Start na Krawców Wierch w pełnym słońcu, po zmroźnym śniegu. Szlak – choć mineliśmy kilka grup turystów – trudno było określić jako wydeptany. Tak też średniogłęboki, mokry i ciężki śnieg utrudniał szybki marsz, dodatkowo po drodze pogoda sukcesywnie się pogarszała i zaliczyliśmy spotkanie z marznącym deszczem, a że akurat schodziliśmy – resztę możecie sobie wyobrazić. Na Halę Miziową dotarliśmy jeszcze przed zmierzchem i z zamiarem wejścia na lekko na Pilsko. Jak zaplanowaliśmy tak też zrobiliśmy i po wejściu na szczyt, niezobaczeniu absolutnie niczego oddalonego o dalej niż dziesięć metrów od nas z powodu wszechobecnej pizgawicy, czym prędzej sturlaliśmy

się z powrotem do schroniska. Następnego dnia z Miziowej udało nam się – o dziwo – wyjść najwcześniej patrząc z perspektywy całego rajdu, niemniej pogoda skutecznie nas spowolniła. Początek trasy ze skrzypiącym i świeżym śniegiem pod stopami przedreptaliśmy na wpół śpiąco, raz po raz pomagając sobie wzajemnie wstać po niekontrolowanych ślizgach i kłapnięciach. Do południa udało nam się spokojnie przemierzyć spory kawałek trasy, jednak jakże byliśmy naiwni narzekając na zeszlodniowy śnieżek przy Pilsku – czwartego dnia w okolicach trasy przy Hali Mędralowej złapała nas dwugodzinna burza śnieżna, która przyprawiła każdego z nas o dorodną brodę z sopli lodu i ograniczyła widoczność do łydek osoby idącej z przodu. I chociaż dzielnie brnęliśmy do przodu, to ostatnie kilometry przed samym schroniskiem na Markowych Szczawinach należały niewątpliwie do najcięższych – podczas ostatniego postoju, gdy już chyba wszystkim któraś z części ciała odmówiła posłuszeństwa, padło nawet stwierdzenie „i tak właśnie turyści umierają pół godziny od schroniska”. Na szczęście ostatni etap do Markowych wiódł względnie płasko przez wysoki las osłaniający od powiewów wiatru i śniegu. Cały trud niedzielnego popołudnia opłacił się – miny ludzi siedzących w jadalni Markowych Szczawin wyrażały co najmniej zdumienie, na widok pięciu brodzących w kierunku schroniska, po uda w śniegu, wędrowców.



Ku cywilizacji.

Tego wieczora, podczas dyskusji (nad przepyszną szarlotką) o możliwości wejścia na Babią Górę – o ironio – byliśmy świadkami wjazdu na Babią dwóch GOPR-owych quadów. Niestety przełom roku był na Babiej wyjątkowo pechowy – czasem pogoda nie sprzyjała, czasem turyści nie grzeszyli rozumem, czasem jedno i drugie. Ostatecznie – nękani kontuzjami, grypą i gorączką, w poniedziałkowy poranek grzecznie ewakuowaliśmy się w dół – następnym razem Babo! ■

Jak **nie** zostałam francuską guwernantką

Wakacyjnej tułaczki po francuskiej ziemi część druga

Józefina Świącicka

Jak to jest? – znaleźć pracę z ogłoszenia w Internecie i pojechać do obcego kraju, by mieszkać z nie widzianymi nigdy wcześniej na oczy ludźmi pod jednym dachem, dzielić ich *codziennność, radości i smutki*, powiem więcej –

dzielić ich poranki w szlafrokach i układać w szafie skarpetki ich dzieci lub wnuków? Taki wyjazd może być zarówno odkryciem, jak i nieprzyjemną niespodzianką.

Z początku przedstawiało się to wszystko jako wymarzone wakacje, połączone z perspektywą zdobycia dużych

– jak na studencką kieszeń – pieniędzy. Kwota w ogłoszeniu była tak *interesująca*, że zgłosiłam się bez wahania. Czwórka dzieci w wieku pięć – dziewięć lat, domek letni z basenem, trzy kwadrans jazdy samochodem od Atlantyku. Ogłoszenie opublikowała babcia wspomnianych dzieci, która miała zająć się nimi w trakcie letnich wakacji i potrzebowała wsparcia. Pestka – pomyślałam, wysyłając mailem list motywacyjny, i zaczęłam z rozkoszą planować, na co wydam te *prawie dwa tysiące euro*. Odpowiedź dostałam prawie natychmiast. Na dole adnotacja – wysłano z i-Phone'a. Ho, ho, to nowoczesna ta ich babcia – pomyślałam, lekko zaskoczona. Zachód, technologia. Może tam wszystkie babcie mają i-Phone'y?

Po chwili babcia owej czwórki, którą miałam się zająć przez lipiec, przesłała mi kolejną wiadomość: *Właściwie, to z zawodu jestem psychologiem. Napisałam parę książek. Może mnie pani wygooglać, jeśli to panią interesuje*. Niezwłocznie wpisałam imię i nazwisko mojej przyszłej szefowej do wyszukiwarki, chcąc o niej wiedzieć jak najwięcej. Ukazała się skromna, profesjonalna strona. W zakładce „o mnie” – portret dynamicznej sześćdziesięciolatki. No, sześćdziesięcio-pięcio-latki. Szczupła, opalona, w okularach przeciwsłonecznych założonych na włosy, nie wyglądała na kogoś, kto dawałby sobą pomiatać. To i dobrze – pomyślałam. Lepiej się współpracuje z kimś konkretnym, kto formułuje jasne komunikaty.

Nie minęły jednak trzy dni, a pożałowałam tego konkretnego. Na uroczym działeczkę panował system nakazowo-rozdzielczy, to znaczy babcia nakazywała na przykład: To niedopuszczalne, żeby dzieci nie jadły śniadania! Każde ma coś zjeść! – a ja rozdzielałam jogurty i kromki chleba z masłem oraz pilnowałam, by każdy maluch sfinalizował konsumpcję.

Nie wiem, czy konflikt między nami był bardziej konfliktem osobowości, czy cywilizacji. Z perspektywy czasu myślę, że obu w równym stopniu. Zaledwie po tygodniu mojej pracy tam, la bonne polonaise wyleciała z hukiem. Ani ja, ani Madame tego nie żałowałyśmy. Posłuchajcie wyznań niedosłej guwernantki, a zrozumiecie.

5 lipca, pokój na poddaszu w Paryżu

Uff! No to jestem. Gare Monparnasse² to było piekło: wszędzie ludzie, wszędzie schody ruchome, a ja z tą wielką walizką... No, ale jak się jedzie na dwa miesiące, to trochę rzeczy trzeba wziąć. Nie będę przecież pożyczać suszarki od Madame.

Do apartamentu Madame przybyłam bez problemu. Okolica rzeczywiście przyzwoita. Przyzwoita, to mało powiedziane: pięć minut do wieży Eiffela, a z balkonu widok na wszystkie najważniejsze zabytki Paryża. Wejście do budynku też nobliwie: portier, dywany etc. Zdyszana, wysiadłam z windy na szóstym piętrze. Otworzyła mi służąca o wyraźnym akcencie filipińskim (nie jestem jedyna – pomyślałam) i poprowadziła do „schodów dla obsługi”. Wąskie i kręte, w porównaniu z paradną klatką schodową robiły rzeczywiście skromne wrażenie, tak, że nie było wątpliwości, dla kogo są przeznaczone. Udało mi się jakoś wciągnąć na nie moją walizkę i byłam na siódmym piętrze. Nie dojeżdża tam winda; zajmują je kawalerki, przerobio-

ne z dawnych pokoi dla służby. Jeszcze tylko wędrówka wąskim i niedoświetlonym korytarzykiem i byłam u siebie. Pogarszający się wystrój, w miarę jak mijałam kolejne drzwi, kazał mi pytać samą siebie, czym był rzeczywiście ten „przyjemny pokój”, który zaoferowała mi Madame. Otworzyłam drzwi przeznaczonej dla mnie sześnastki – nie było tak źle. Okna były, rzecz jasna, od podwórka, ale widać było kawałek podświetlonej wieczorem kopuły Hôtel des Invalides³.

Nie byłam zachwycona, że musiałam opuścić Poitiers⁴. Tam było tak słonecznie, tak spokojnie, tak romańsko... Na szczęście w Paryżu posiedzę tylko tydzień, bo potem wszyscy jedziemy na wieś: Monsieur, Madame, czwórka ich wnuków i ja w charakterze guwernantki. Trochę się obawiam, jak to wyjdzie, bo Madame nie znajdzie raczej we mnie typu starszej siostry. Na szczęście dzieci mają tam dużo rozrywek: wielki park, otaczający dom; basen, trampolina... Może zajmą się sobą, a ja będę tylko pilnować, czy się nie topią albo nie skaczą sobie nawzajem po głowach.

6 lipca – pierwsze śpięcia

Zesłam rano do kuchni w apartamencie Madame, zrobić sobie herbatę. U mnie nie było czajnika, więc stwierdziłam, że jestem usprawiedliwiona. Za stołem zastałam jej męża, spowitego w biały szlafrok. Było to nasze pierwsze spotkanie (Madame zaangażowała mnie z ogłoszenia). Krzyknął do żony, która była w pokoju obok: – To chyba ta... Żozefina przyjechała!

10 lipca

Bujam się po Paryżu z Sanją, która będzie tu jeszcze przez kilka dni. Czas schodzi nam głównie na lawirowaniu pomiędzy grupami turystów, picie kawy i jedzeniu naleśników. Cały ten Paryż niespecjalnie mnie rusza, jeśli mam być szczerą. Za dużo tu tandety i japońskich turystów, o zapachu moczu w metrze nie wspominając. Jutro idziemy do Luwru, pojutrze na Montmartre. Mam nadzieję, że wtedy docenię to miasto. Może jestem świętokradką, ale wiem, że we Francji jest dużo innych wyjątkowych miejsc ze wspaniałą architekturą, które można podziwiać w spokoju i za mniejsze pieniądze.

12 lipca – obiad rodzinny

Madame i Monsieur zaprosili mnie dziś na obiad rodzinny, w którym miały uczestniczyć ich wnuki. Pewnie po to, żeby przetestować moje umiejętności guwernantki. Przeżyłam szok kulturowy: ja i dzieci jedliśmy w kuchni, prostymi sztućcami, kurczaka z ziemniakami, podczas gdy „państwo” w jadalni raczyli się *carpaccio de boeuf* (cienkie plasterki surowej wołowiny – nie, żeby mi się to wydawało smaczne...) i tortem z czereśniami.

Żadna krzywda mi się tu nie dzieje, ale, cóż... paryżanie to paryżanie. To nie to samo co mieszkańcy prowincji, którzy zajmują się tobą na każdym kroku, doradzają, pomagają wsiąść do autobusu... Tu każdy jest zajęty swoimi sprawami.

17 lipca, już na wsi

Znowu miałam dziś z szefową różnicę zdań (ona oczywiście nic nie zauważyła; przecież nie będę mówić specjalistce od wychowania dzieci, która zarabia grube (!) pienią-

²Paryski dworzec kolejowy

³Budynek mieszczący dawniej szpital dla weteranów, a dziś muzeum wojska i grobowiec Napoleona.

⁴Niewielkie, pełne zabytków miasto. Z polskich miast najbardziej przypomina Lublin – nieco na uboczu, ale ma klimat.

dze na swoich światłych radach, że dla mnie to, co robi, jest bez sensu). Ta kobieta naprawdę utrudnia mi pracę przez swoje pomysły.

Panuje tu niezły rygor. Mnie to raczej nie dotyczy, jestem tylko polskim garkotłukiem, cieniem człowieka, który jest obdarzony zdolnością ładowania naczyń do zmywarki. Najtrudniejsze jest to, że są trzy osoby, które w mniejszym lub większym stopniu zajmują się dziećmi, i każda ma inne zdanie w jakiejś kwestii:

Kucharka Madeleine trochę się wtrąca podczas obiadu (Nałóż mu więcej sałaty! (...)) Tymoteusz! Czemu nie jesz groszku?! i mówi, bardzo z wiejska i rozsądnie, że dzieciak, który nie zjadł wszystkiego, co miał na talerzu, nie ma prawa do deseru. Madame chciałaby tylko, żeby dzieci nie wstawały od stołu podczas posiłku, bo to nieelegancko. Od podawania to ja jestem. (!!!) I mają same nie brać rzeczy z lodówki – od tego, żeby im przynieść, to też ja jestem, ale przede wszystkim chodzi o to, jak sędzę, żeby nie podjadały, bo będą „grube jak becзки”. Należy też czuwać, by nie spożywały za wiele chleba ani ryżu. Zwłaszcza Maja.

Madame w ogóle nie jest zbyt obecna. Pojawia się tylko po to, by nas ochrzanić za bieganie i hałasowanie w domu, lub wycalać dzieci. Przejawiają się w niej te dwie skrajności: przez większość czasu jest sucha i rzeczowa, łaja nas lub prawi kazania, ale bywają momenty, gdy łapie jedno z dzieci i obcałowuje – najczęściej tego najmłodszego. Jaką rolę to ma pełnić – nie wiem. Dzieci i tak czują, czy są kochane, czy nie. Najgorzej jest jednak, gdy częstuje dzieci psychologicznymi teoriami typu: „Maja! By być szczęśliwym w życiu, należy...” – one nic a nic z tego nie rozumieją, jak sędzę. Co to w ogóle za kategoria – szczęśliwy w życiu? Moim zdaniem, wychowanie à la française nie przygotowuje do bycia szczęśliwym w życiu. Przygotowuje do bycia wydajnym i zdyscyplinowanym. I szczupłym – reżim posiłków pełni tu ogromną rolę. Ale szczęśliwym... Bardziej szczęśliwa jest, jak sędzę, gruba mama – imigrantka w poplamionym dresie, która ogląda cikliwy serial na wytartej kanapie, podjadając słodycze, niż taka Fracuzka – charcica, czempionka życia i tenisowych kortów.



Aby chronić prywatność moich gospodarzy, nie zamieszczamy tu zdjęcia domu, w którym naprawdę byłam. Ale, żeby dać wam ogólne pojęcie, jak to wyglądało...

Wspominałam o reżimie posiłków. Otóż, jeść można tylko o stałych porach i to określone rzeczy. Z piciem rzecz

ma się podobnie. Zdaje mi się nawet, że dzieci mają zakaz picia wody między posiłkami. Raz się jeden poskarżył, że chce mu się pić. Kuzyn mu poradził, żeby poszedł do kuchni i napił się wody. Ten na niego spojrzał, jak na wariata: „Chcesz, żebym dostał opieprz?!”

Rano dozwolone są: chleb z masłem, czekolada w formie stałej – batoników Kinder – lub płynnej, w postaci proszku rozrobionego z ciepłym mlekiem, sok. Co do dżemu i miodu, здаje mi się, że dzieci nie lubią, ale myślę, że to się jeszcze mieści we francuskim pojęciu śniadania. Obiad następuje około 13, nieco później, niż to jest z zwyczajem (normalna pora – 12:30). Do picia woda, nic innego. Po obiedzie podwieczorek, najwcześniej o 16. Jeśli dzieci jadły później, to nawet o 17. Dozwolone słodycze: bułki z nadzieniem czekoladowym lub batoniki Kinder (czekolada króluje). Do tego sok. Kolacja koło 20. Podjadania pomiędzy posiłkami SUROWY ZAKAZ. Nawet, jak ci dzieciak jęczy koło 15, że chciałby kawałek chleba, to masz mu NIE DAWAĆ. Bo to NIE PORA.

Reasumując, mówi się, że Francja to kraj wina i czegoś tam jeszcze, ale jakbym miała zrobić ranking rzeczy, które tu je się najczęściej, to wyglądał on by tak:

- Chleb z masłem – absolutna podstawa. Na śniadanie, na podwieczorek; może być i do posiłków.
- Masło – wszędzie.
- Śmietana – jak wyżej.
- Dla dzieci – czekolada pod przeróżnymi postaciami.
- Marchew w postaci surówki lub bardzo często na ciepło.
- Warzywa strączkowe – fasolka szparagowa i zielony groszek cieszą się wielkim powodzeniem.
- Pieczony kurczak (często ze śmietaną, pycha!) lub pieczeń wołowa.
- I, dopiero na ósmym miejscu, ser. Wino gdzieś na szarym końcu – raczej od święta.

Tak więc, jak widać, kuchnia francuska jest tak naprawdę bardzo prosta. Tysiąc razy bardziej prosta, i rzekłabym nawet, PROSTACKA, w porównaniu do kuchni polskiej, która obfituje w przeróżne nadzienia, wieloskładnikowe sosy i zupy wymagające dużo krojenia i tarcia. Co nie znaczy, że jest niesmaczna. Zwłaszcza, jak się kupuje bagietki w renomowanych piekarniach. (Moi pracodawcy robią to, a jakże.) Monsieur specjalnie wstaje o 7 i jedzie do miasteczka po pieczywo. Także widać, że tutaj chleb to poważna sprawa.

Wracając do tematu: ciężko się żyje pod jednym dachem z anorektyczką (tak!!!) – perfekcjonistką, kochającą nieskazitelne dębowe parkiety i niezmacone niczym posiedzenia przy kawie i papierosku, gdy masz pod opieką czworo dzieci w wieku wczesnoszkolnym. Ewentualne zakłócenia spokoju nadrabiam uniżeniem. Zbliżam się na paluszkach i mówię z namaszczeniem: Ehm... Proszę Pani, Barnaba twierdzi, że nie ma już czystych skarpetek, czy to możliwe? Albo: Proszę Pani, Tymoteusz nie chce opuścić trampoliny; co robić?

15 lipca

Nie można powiedzieć, żebym się tu przemęczała. Jednakże butiki La Rochelle⁵ i wyprzedaże kuszą, kuszą... Postanowiłam więc poprosić szefową o dzień wolny. Bez przesady, raz chyba może wyjąć dzieciom te jogurty z lodówki i dopilnować, czy umyły zęby. Wybrałam moment po obiedzie, kiedy Łasica (tak w myślach nazywałam szefową, za względu na uderzające podobieństwo) była najedzona i wygrzewała się swoim zwyczajem na leżaczku.

- Ehm... proszę pani... - zaczęłam nieśmiało, i w możliwie jak najbardziej uniżonych słowach wyluszczyłam swoją prośbę.
- Pani Józefino - wzrok Łasiczki był stalowy - chcę, żeby pani traktowała poważnie tę pracę. - To nie wakacje na wsi! - ryknęła po krótkiej przerwie. - Specjalnie zaproponowałam tak wysoką pensję, żeby czuła się pani *zmotywowana*.

Zmotywowana. Aha, tak się na to u was mówi. W Polsce ludzie mówią na to 'wyzysk', ale może to kwestia przestarzałej nomenklatury i komunistycznych naleciałości.

Po południu szefowa jednak trochę zmiękła. Pakując dzieci do samochodu, oznajmiła:

- Jedziemy do kina, pani Józefino. Przez... - spojrzała na zegarek - przez około trzy godziny może pani robić, co pani chce.

Dzięki, kochana.

20 lipca

No i koniec. Wywalili mnie. A było to tak:

Już od dłuższego czasu zbierałam się, żeby poważnie pogadać z szefową. Udało mi się ją wreszcie dopaść: wyciągnięta na leżaczku wygrzewała się nad brzegiem basenu. Zagadnęłam ją; otworzyła leniwie jedno oko.

- Proszę pani... - zaczęłam nieśmiało - wydaje mi się, że nie jest pani do końca zadowolona z mojej pracy. Może mogłaby mi pani coś doradzić, co mam poprawić - próbowałam ją polectać, odwołując się do jej *wiedzy fachowej* - Zastanówmy się nad tym wspólnie... - ciągnęłam.
- Nie - rzekła szefowa. Zdębiałam. Nie - co? Nie porozmawiamy? - Nie jestem zadowolona z pani pracy - wyjaśniła, krótko i rzeczowo.

Popatrzyłam na nią, osłupiała. - Aha - zdołałam wykszusić.

- Nie jest pani stworzona do tej pracy, pani Józefino. Widzę, że pani się nudzi. - Na te słowa stanęłam jak wryta. Przejrzała mnie! Stara rzeczywiście była dobrym psychologiem! Inna sprawa, że moją zblazowaną od rana minę widać było chyba z odległości kilometra.
- Hm, wie pani... czwórka dzieci, całkiem dużych, one same sobie radzą... ja ich tylko doglądam... - mówiłam tu szczerą prawdę: moja rola sprowadzała się do podawania śniadań i patrzenia, czy nie topią się w basenie. - Nie mam tu aż tak dużo do roboty, więc może...



Relaks nad oceanem był mi dany dopiero po tym, jak definitywnie opuściłam mury rezydencji Madame.

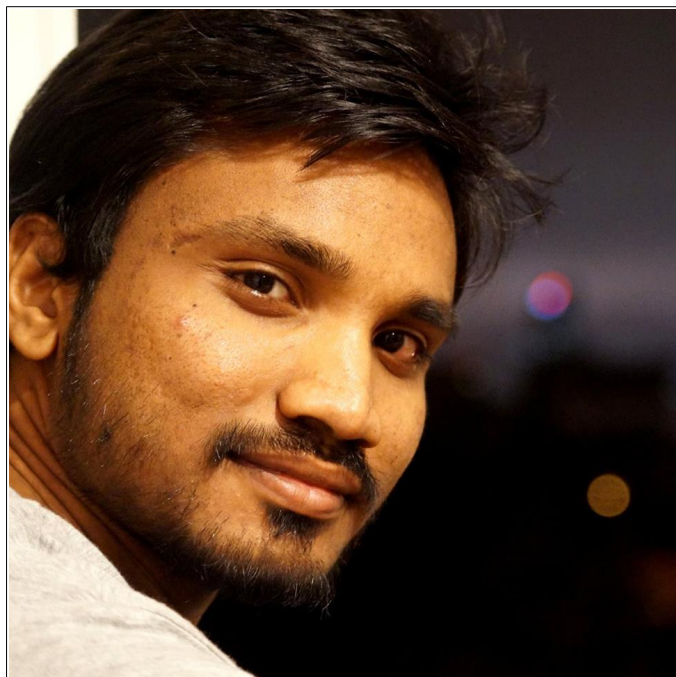
Rozmowy, która się wtedy wywiązała, nie będę w całości przytaczać. Była okropna, ale dla nas obu zakończyła się, uważam, pomyślnie: stara podziękowała swojej *mało wydajnej* guwernantce, a udręczona guwernantka mogła w spokoju odjechać do domu. Na odchodnym wypłacono mi pensję za tydzień pracy. Monsieur dziwnie patrzył się na mnie, jak zachwycona ściszałam kopertę z 300 euro. Chyba rzeczywiście biedna ta Polska - malowało się na jego twarzy. ■

Success lies in courage

Stefania Ambroziak

Probably no one in SKG expected that one day a foreigner would turn up on the first lecture for the 34 KPG. Then on the first exam session, and then on the winter session. Not put off by darkness, wind, cold, rain, mud and tea brewed in a dirty bucket with forest sticks and leaves - Venky, a student from India, proves to be unbelievably persistent and smart on every level of the course. Because one word is enough to tell everything about his lifestyle and life goal: adventure. He's passionate about it. When we meet on the climbing wall, Venky decides to go for the most difficult route. He says "I must try this one", and he turns his back. On his black T-shirt I see white letters combining a motto which he invented himself: "Success lies in courage".

⁵ Zabytkowe miasto portowe i kurort nad Atlantykiem.



Stefania Ambroziak: We all call you Venky. What is the full form of your name? Does it mean something?

Venkatesh Sonti: It's Venkatesh Sonti. The name Venkatesh means some power, unknown power, heavenly power, mighty power. It's unknown, difficult to define but it means some kind of power. Sonti is just a family name.

S. A.: Which part of India do you come from?

V. S.: I basically belong to the southern part of India, but I live in the middle part of India right now, in Mumbai, the business capital of India.

S. A.: What's the main difference between living in India and in Poland? Are there any similarities?

V. S.: I don't think there are many differences. There are many similarities. My cost of living in Poland compared to the cost of living in India is the same. The way of interacting with the people is the same. Adventure here is different because the place is different, the terrains are different. In India the terrain is very hard, here it is not. That's the only difference. Coming to the similarities, I have a circle of friends with lots of foreigners, so I don't feel that I came into a different culture. I have a team in India and there were two girls from Poland in my team. Ania and Ola recently left India and went to Malaysia. They are some of my best friends.

S. A.: What kind of team do you have?

V. S.: I belong to an official team, Rockface Adventure Camping & Expeditions. Previously I worked for another adventure company for one year. Now this is my own company which I started 8 months ago. It is under development, I have a team of 5 persons, 3 directors and 2 marketing specialists. From here I take care of all kinds of things, like online marketing, event publishing on the internet, online content, official pages.

S. A.: What do you study? Which year is it and why did you choose this faculty?

V. S.: I came here to study at the Warsaw Institute of Technology, Politechnika Warszawska, because my friend

Ania told me about this university with the faculty of aerospace engineering. I thought of going to the USA but it was more expensive. I started here my masters in 2014 and this is my second year.

S. A.: So you study at the Warsaw Institute of Technology and did you know that there is the SKPB club?

V. S.: I didn't know anything about it until I came here.

S. A.: Why did you choose SKG?

V. S.: Before I came here I only knew about ESN which is in our university, but they aren't quite adventurous. I wanted to try something difficult, something hard in my life, so I was searching for some kind of a good adventure club. I didn't know anything about SKPB club then. Finally I saw a poster by SKG about the lowland manoeuvres, so I took a picture of it, went to my room and translated it word by word. I sent an e-mail to Marek, he told me I can come over here and take part in the event. I wasn't aware of the fact that some kind of selection is going on, I thought it was just an adventure event. After I completed it, they told me that I was selected for the course. They asked me whether I want to continue the course and I asked what kind of course it is. Then I read about it and got to know everything. I thought let's give a try and go and check the first class. I found out that it's completely in Polish, but when I attended the first class, Adam and Michał explained me the course details, Piotr and Tomasz translated everything word by word to me. After the class I talked to them and asked whether I can continue the course. I don't know Polish but I will try to manage. I wanted to do this kind of course because I wanted to learn that kind of stuff related to adventure. Because I come from an adventure field in my life and I wanted to do something which is related to my field, so I had a talk and they told me "you can do it". And I continued my classes and there it is. Later on Paweł and many other friends told me that there is another club, SKPB, but I don't know much about it.

S. A.: Was it difficult for you to apply to a foreign university?

V. S.: Not at all. I already applied to a university in USA, I was accepted, but I could not afford studying there. I got no scholarship there. So I thought it would be better to shift to Poland. It was easy, there was no problem with application.

S. A.: How long have you been in Poland? Do you want to stay here longer?

V. S.: Now it's been one year and one month. It will take me one more year to complete my thesis and studies and after that I'm thinking of continuing my internship and my project in Poland. So it's going to take at least two years.

S. A.: How about working in your field?

V. S.: I haven't worked anywhere so far, because I was more into adventure. Even if I worked somewhere, I don't think I would completely focus on my work, because my studies in aerospace engineering are difficult. I need to complete my projects, I must take tests, so it's quite difficult for me. I can find time for adventure, but I can't find time for work.

S. A.: Do you want to work in Poland after completing your studies?

V. S.: It depends on the company and the offer.

S. A.: It seems that there are no aerospace engineering companies in Poland.

V. S.: I don't think so. There are some companies but they are more into the government and they don't offer placements for international students. So I don't think I can get a job in aerospace engineering.



S. A.: What do you like and what do you dislike in Poland?

V. S.: There are only likes. I like the adventure. If I'm staying at a certain place for a longer time, I need to like adventure there. Only then I will stay for a longer time. When I did not know about SKG, I was like completely mad about what I was doing. I was not able to concentrate on my studies, because for me it is quite boring without adventure. Adventure is what I like here. And the people. They are very nice to me. Before coming to Europe I heard something about racism in some of parts of Europe, but when I started living here I found out these were just rumours. There is nothing like racism here. So far I have not seen an inch of racism here. People are quite friendly, they take time to talk to me. Even if I don't talk to them, they will come and talk to me. They are so friendly – that's the most important thing I need. And better than this are the places. They are ultimate. Beskid Niski. Everything is ultimate. I come from places with quite difficult terrain. All here is an easy terrain but there is this scenic beauty and the temperatures are nice here, the climate is very mild, I like the climate. Everything is positive. No dislikes.

S. A.: I guess you like the way we have fun on the course. Some people say it is hard, it is difficult...

V. S.: No, it's not difficult at all. It's difficult if you consider just the physical things. If you consider everything, your brain, your knowledge level, your fitness level, you'll find it's not difficult, it's more informative, more attractive than any other course. You'll be doing your physical and mental work because navigation does not need any kind of

physical work until you have the mental power to think. You have to think when navigating, even the orientation is a lot of thinking. Even if you have a good level of physical fitness, it's not easy to orient or navigate at a place. The only thing you have to do is to concentrate, to focus, and have an idea of where you are. So it's like a total fitness, mental fitness, physical fitness – everything is here. Even if there is some kind of difficulty, it's good for you. There's no harm in that.

S. A.: So you like it even when it's cold, when it's getting wet...

V.S.: Yes, I love it! Moreover, I want to get into this kind of situations more and more, because only then I can challenge myself and get to know more about myself, only then I can know until what limit I can endure. People don't know how much they can endure. When they don't know their limits, they can't do what they want to do. So first you have to know the limit of yourself, then you can do whatever you want to do. I believe in that.



Venky in the Beskidy Mountains.

S. A.: What were you interested in before you applied to the SKG course?

V. S.: My passions were full of adventure. I like mountain biking, I practiced it a lot. I have a few fractures, I ended up several times in hospital when I had an accident on the bike. You can see all the scares. I broke my arm twice and my collarbone once. I'm crazy about mountain biking.

S. A.: So you're a very active person.

V. S.: Yes, you can consider that. If you go to India you can see a lot of adventure companies over there. It's very competitive in India. Here I don't see competitive adventure companies. So in India you need to be perfect in what you're doing and you need to take care of the customers, so it is all about the physical fitness of us, the directors of the company. We need to be fit, and in order to be fit we need to do all the kinds of activities like mountain biking, trekking, climbing, everything, more and more sport adventures.

S. A.: And since you were into all these activities, you wanted to find something similar in Poland?

V. S.: Yes, I kept searching and it took me about six months to find SKG.

S. A.: Are there any dislikes about the course?

V. S.: No, not at all. The only dislike might be that it's in Polish, but if it was in English, I would be the happiest person in the world. But it's quite OK, because of my friends in the course and because of the instructors. It's very easy for me. Even though I don't know the language, it's very easy to understand and to learn because of my friends and instructors, they helped me a lot.

S. A.: Do you want to become a mountain guide after the course?

V. S.: Not here, but I want to set up my company in India. I want to make my company one of the best companies in India. So I'll use this knowledge in the future. If there are cases when I need to use my knowledge here, I will do it, but my full focus is my company after leaving the country. I want to improve it and devote all my time to it.

S. A.: How do you want to find the balance between your adventure company and aerospace engineering?

V. S.: Even when I was doing my bachelor degree, I used to work for an adventure company. From Monday to Friday I attended the classes, from 9 AM until 6 PM, so I had no time for adventure. I only had Saturday and Sunday for adventure. So I used to pack my backpack every Friday night and I used to leave, not knowing where I was going. I used to meet different kinds of people and friendship with them and explore new places. And we used to come back on Monday morning. Sometimes I didn't even have time to change my clothes, I just went directly to class from the trip. I did this for about 4 years. So I don't feel any difference or find it physically demanding in finding time for adventure. Here I just do the same thing.

S. A.: What do you like about the Beskidy Mountains?

V. S.: Mainly orientation and navigation. Recently I went to this place called Jawornik and got lost for some time. It is very tricky. There are many places like this, Jawornik is just an example. Some places look very easy to navigate but when you go deeper you will find difficulties there. I like this kind of things.

S. A.: So you appreciate the Beskidy Mountains?

V. S.: Yes, of course! It's like solving a mystery and I like it. The Beskidy Mountains are very hard and you have to be perfect in orientation. You can learn a lot there.

S. A.: And the Tatra Mountains?

V. S.: I have been to Zakopane, but I'm planning to go to Orla Perć. I'm planning it for the following months. I want to try something more difficult.



S. A.: Do you have any experience in mountain climbing from India?

V. S.: Yes, I have. I climbed many places in the Himalayan Mountains.

S. A.: So what's the highest altitude you've ever been?

V. S.: That's a difficult question. Nearly 14 000 or 16 000 feet.

S. A.: What is the worst moment from the course and what is the best, that you will remember forever?

V. S.: The best moment was when my friends celebrated my birthday on the last day of the winter session. We went down to an SKPB camp and they surprised me with a small cake. And the worst moment? So far nothing. Everything is positive.

S. A.: What about your Polish? Do you learn Polish?

V. S.: Yes, I try to learn something. I want to improve my skills.

S. A.: Any favourite words in Polish?

V. S.: Dziękuję, and.. ruszamy – this is the main word we use every time. ☺

■

O chatkach

Damian Dąbrowski

Doświadczony górolazy wzruszą ramionami widząc ten artykuł. Czy może być coś bardziej oczywistego niż chatki studenckie? Czym tu się ekscytować? Ja aż takim starym

wyjadaczem nie jestem, i być może dlatego moje pierwsze zetknięcie z tego rodzaju przybytkami miało miejsce dopiero kilka miesięcy temu. To była miłość od pierwszego wejrzenia – i stąd ten tekst.

Krótko o historii. Pierwsze chatki zaczęły powstawać w latach sześćdziesiątych XXw., szlaki przetarły AKT „Warta” z Gliwic (chatka na Sulowej Cyrhli, już nieistniejąca) oraz AKT „Gronie” z Katowic (chatka na Rogaczu). Potem nastąpił istny wysyp. Zazwyczaj wyglądało to tak, że dana organizacja kupowała bądź dzierżawiła starą wiejską chałupę, a następnie własnymi siłami ją remontowała, ulepszała i ogólnie – dopieszczała. Większość z nich przetrwała do dziś, jest ich obecnie nieco ponad dwadzieścia, część z nich dalej prowadzona jest przez studentów, część przez rozmaite stowarzyszenia, niektóre przeszły w prywatne ręce.

Jakich warunków można się spodziewać w typowej chatce? Trudno napisać coś konkretnego ze względu na znaczące różnice między poszczególnymi obiektami. Pod względem wygód jest to coś między namiotem a schroniskiem. Prąd może być, ale nie musi. Z prysznicem raczej krucho, ale umywalnia z kilkoma miednicami powinna się znaleźć. Po wodę przyjdzie nam udać się do studni. Spać będziemy w pokojach wieloosobowych, może na łóżkach, może na materacach. Nie da się ukryć, pięciogwiazdkowy hotel to nie jest – i dobrze!

Zalety chatek: po pierwsze, wspomniana wyżej surowość. Nie wszyscy tak mają, ale dla mnie kilkudniowy pobyt w podobnie spartańskich warunkach jest sporą atrakcją. W końcu w góry jadę m.in. po to, aby zapomnieć

o codziennym, miejskim życiu! Coś podobnego oferuje też oczywiście spanie pod namiotem, ale nie zawsze ma się ochotę go ze sobą tachać, a poza tym nie wszyscy są entuzjastami biwakowania w zimie, natomiast chatki są mniej więcej całoroczne. Mniej więcej, bo jednak część z nich stoi zamknięta poza sezonem, ale często są otwierane w czasie ferii, długich weekendów itp. Kolejną zaletą chatek jest ich różnorodność, związane z nimi historie i ciekawostki. Jako przykład: tuż obok chatki „Malucha” w Ropiance znajduje się niewielki otwór w ziemi, z którego wydobywa się gaz. Po podpaleniu powstaje mały płomyk, który palić się będzie tak długo, jak tylko pogoda pozwoli. Fajne, co? Jednak największym plusem chatek jest panujący w nich nastrój, a to za sprawą fantastycznych ludzi, których można tam spotkać. Można pośpiewać, pogadać, pograć w planszówki, można po prostu posiedzieć i chłonać to wszystko. Niby nic, a jednak.

Jeżeli jeszcze nigdy nie odwiedziliście podobnego miejsca, to czas najwyższy! Ruszajcie więc na szlak, a planując noclegi pamiętajcie o tych urokliwych studenckich chałupach. Głównym wiedzy polecam świetną stronę www.chatki.com.pl, na której poczytać można na temat właściwie wszystkich polskich chatek. Oprócz ich historii i rozmaitych ciekawostek jest tam bardzo dużo informacji praktycznych, gotowych tras, namiarów na opiekunów chatek itd. ■

Zwiastuny wiosny w beskidzkim lesie

Marcel Wyrwibrzóz

Wiosna w naszym kalendarzu zaczyna się 21 marca. Jednak przyroda nie zawsze ściśle trzyma się ustalonych terminów. Zwłaszcza w górach nie zawsze zdąży przyjść na czas. Nadejście tej jakże wyczekiwanej przez ciepłolubnych i zniecierpliwionych przez narciarzy pory roku zwiastują nam liczni posłańcy, zarówno w świecie roślin jak i zwierząt.



Leszczyna Pospolita (*Corylus avellana*).

Pierwszym z nich jest leszczyna pospolita (*Corylus avellana*). Wystarczy już kilka cieplejszych i słonecznych dni w lutym, a na gałęziach tego pospolitego krzewu pojawiają się charakterystyczne żółtawe kotki. Jak mówi jedna z kursantek XXX KPG wtedy na drzewach rosną robale. Zazwyczaj jest to jednak dla wiosny sygnał przedwczesny i kotki jeszcze kilkakrotnie są okryte szronem lub przykryte grubą czapą śniegu.



Podbiał pospolity (*Tussilago farfara*).

Gdy promienie słońca odkrywają niewielkie fragmenty gruntu przy potokach lub terenach podmokłych, jak za dotknięciem różdżki wyskakują lepiężniki białe (*Petasites albus*). Te rośliny o tak dziwnej nazwie to pospolite łopuchy. Pomimo że są bardzo pospolite, niewiele osób jest w stanie rozpoznać ich kwiatostany.

Kolejnym zwiastunem nadchodzącej wiosny jest podbiał pospolity (*Tussilago farfara*). Ten niepozorny żółty kwiat, który porasta tereny ruderalne, obrzeża potoków,

rozlewiska rzek itp. jest dosyć specyficzny w swojej budowie. Jest trochę inny niż szanujący się kwiat, ponieważ w czasie kwitnienia z ziemi wyrasta tylko łodyga, nieco przypominająca wiertło do metalu, z pojedynczym kwiatem, a brakuje liści, które wyrastają później i są jak gdyby miniaturą pospolitych łopuchów.

Wieloletnia obserwacja pszczelarzy pozwala twierdzić, że podbiał jest swego rodzaju wyznacznikiem kwitnienia innych roślin. 20 dni po podbiale zakwita wierzba iwa, a 5 dni po wierzbie mniszek lekarski. Malina zakwita po 55 dniach, lipa po 90, a wrzos po 130 dniach. W obecnym roku pierwsze podbiały można było zaobserwować około 18 marca.

Wywołana już tutaj do tablicy wierzba iwa (*Salix caprea*) porasta przerzedzone lasy, zakrzaczenia, tereny ruderalne. Jest to niewielkie drzewo, które na wiosnę pokrywa swe pędy ogromną ilością bazikotków. Jest to gatunek bardzo ważny dla pszczelarstwa, ponieważ stanowi ogromny rezerwuár pyłku potrzebnego wygłodniałej rodzinie pszczoły po zimowym „śnie”. W kwietniowe słoneczne dni możemy zobaczyć i usłyszeć ogrom pszczoł pracujących na baziach iwowych.



Wierzba iwa (*Salix caprea*).

Jedną z najciekawszych krzewinek kwitnących w naszych lasach bardzo wczesną wiosną jest wawrzynek wilczełyko (*Daphne mezereum*). Jest to niepozorny krzew do 1 m wysokości. Kwitnie na kolor różowy. Kwiaty pojawiają się na gałązkach przed rozwojem liści. Ze względu na kontrastujący kolor w jeszcze szarym lesie, jest bardzo często niszczone poprzez ścinanie gałązek lub nieumiejętne próby przesadzania do swoich ogrodów. Warto tutaj nadmienić, że cała roślina jest trująca!



Wawrzynek wilczełyko (*Daphne mezereum*).

Oznaki nadchodzącej wiosny okazują nam także zwierzęta. Już końcem lutego jelenie zaczynają zrzucić poroże ze swoich głów. W pierwszej kolejności robią to byki (samce jelenia) najsilniejsze. Słabsze i młodsze mogą nosić poroże nawet do kwietnia. Właśnie w tym czasie możemy zaobserwować wzmożoną aktywność łowców zrzutów w beskidzkich lasach.

Jak twierdzą myśliwi, na odgłos zrzucanego poroża reagują żurawie. Już po pierwszej dekadzie marca możemy zaobserwować, jak śpiewa nasz kolega „klucze żurawi na tle słońca” które zmierzają z ciepłych krajów, poprzez karpacie przełęczę do Polski („pewnie lecą do pracy” jak mawiał Obywatel Lewandowski w *Winie truskawkowym*). Przelotom tym towarzyszy elektryzujący klangor, który niesie się na wiele kilometrów. Podczas tegorocznych przelotów widywane były klucze liczące ponad pięćset ptaków!

Kolejna oznaka nadchodzącej wiosny to pobudka niedźwiedzi. W południowej Polsce, gdzie jest ich duże skupisko, możemy zaobserwować liczne tropy oraz ślady żerowania tych zwierząt. Spotkanie w tym czasie misia, który właśnie obudził się ze smacznego snu i jest głodny, może okazać się nie zawsze przyjemne, o czym przekonał się tego roku mieszkaniec Buka. Zazwyczaj jednak niedźwiedź będzie się starał zejść nam z drogi.

Opisane tutaj rośliny i zwierzęta to tylko kropla w morzu przyrodniczej bezkresnej wiedzy. Na przedwiośniu możemy zaobserwować bardzo wiele gatunków, które rozkwitają na różne kolory ciesząc oko przyrodnika. Bacznie obserwując zachowanie świata roślin i zwierząt, możemy poznawać piękno otaczającego nas świata, a także po części zrozumieć zasady panujące w naturze, którą człowiek próbuje na siłę zmieniać, co jest z góry skazane na porażkę.



Ostatnia stanica Rzeczypospolitej

Grzegorz Kaczmarek

Podczas tegorocznej „przedmajówki” wybrałem się w Wyhorlat oraz Bieszczady Słowackie. Kiedy już wracałem do Polski i kierowałem się szlakiem granicznym na zachód, pogoda się zepsuła. Cieszyłem się więc z czekającego mnie noclegu w Balnicy. Miałem przyjemność odkryć to miejsce w sierpniu ubiegłego roku, ale był lekki niedo-

synt, że nie udało się wszystkiego dokładnie obejrzeć. Teraz mogłem zobaczyć chałupę od środka i pogadać do woli z jej właścicielem.

Ze słowackiej perspektywy jest to pierwszy polski dom i stacja kolejki bieszczadzkiej. Położony przy samej granicy był pierwotnie częścią majątku kolei i dopiero przed kilkunastoma laty stał się własnością prywatną. Gospoda-

rzący tu od 30 lat wraz z małżonką Wojtek, dobrze sobie radzi z trudnymi warunkami, ogarnianiem domu w środku gór i prowadzeniem „biznesu”. Ten były pracownik kolejki zaczynał jako dzierżawca, mając na starcie przysłowiowe gołe ściany. Przez pierwsze kilkanaście lat poza sezonem Balnicę mało kto odwiedzał. Interes kokosów nie przynosił, ale dało się wykupić budynek na własność. Z czasem ściany pokryły piękne ozdoby w rodzaju znalezionych w głębszy sprzętów z dawnych łemkowskich wsi, wymyślnych drewnianych ozdób i pięknych zdjęć. Nie zbrakło też półek z ciekawymi książkami, a także udogodnień cywilizacyjnych jak ciepła woda, ogrzewanie itp. Wraz ze zmianą klimatu polityczno-gospodarczego Wojtek otworzył w Balnicy sklepik, w którym można do dziś kupić towary ze Słowacji, płacąc wedle woli złotówkami lub euro. Przez pewien czas prowadził też wycieczki konne. Niedawno zrezygnował z tego rodzaju działalności i skupił się tylko na prowadzeniu domu; został mu teraz tylko jeden koń emeryt. Dopiero przez ostatnie pięć lat jego „stanica” zrobiła się bardziej popularna, ale i tak nadal najwięcej jest tu ludzi, którzy wpadają na chwilę w przerwie między odjazdem a przyjazdem kolejki. Daje ona szansę zarobku również tubylcom, sprzedającym latem przy peronie owoce lasu.



Balnica z zewnątrz.

Przybywający ze szlaku wędrowiec może liczyć na nocleg w przestronnej sali wieloosobowej, mieszczącej się na pierwszym piętrze, kilkuosobowym pokoju na poddaszu lub na polu namiotowym. Ceny bardzo przystępne - 18-26 zł. Oprócz łazienki można też do woli korzystać z dobrze wyposażonej kuchni oraz życzliwości gospodarza ☺

Można tu dotrzeć z czterech stron świata. Z zachodu szlakiem z Łupkowa przez Wysoki Groń i Rydoszową. Ze

wchodu szlakiem z Przełęczy nad Roztokami przez Stryb i Czerenin (sugeruję pominąć odcinek między słupami granicznymi I/50 a I/52!) lub drogą biegnącą nad Solinką. Od północy da się dojechać kolejką lub przydreptać szlakiem ze wsi Maniów, bądź drogą z Żubraczego. Wreszcie opcja dla wracających ze Słowacji czyli dojście z Osadnego.



Pierwsze piętro schroniska.

Jeżeli o geografii mowa, to Wojtkowa włość jest idealnym miejscem do wypadów w Pasma Graniczne i Wysoki Dział. Stanowi dogodny punkt przystankowy dla transgranicznych łazików oraz eksploratorów kresów Rzeczypospolitej. W okolicy zaś dla każdego coś miłego - cerkiewko i cmentarz w nieistniejącej wsi Balnica, przeszkłona krypta w Osadnym, okopy z I wojny światowej na granicznych szczytach plus żelastwo z tej i kolejnej, grób księcia Giedroycia w Żubraczem, spokojna dolina Solinki oraz uroki flory i fauny. Dużą zaletą wymienionych wyżej miejsc jest położenie poza „strefą obłęzenia”, nawet w środku lata.

Jeżeli tylko będziecie mieli czas i chęć, by odwiedzić ten zakątek, na pewno nie wróćcie do domu rozczarowani. ■

Mapa transgranicznego bieszczadzkiego łazika

Grzegorz Kaczmarek

Ostatnio byłem mile zaskoczony, gdy zajrzałem na stronę internetową wydawnictwa Compass. Ta dobrze znana klubowiczom i kursantom firma wydała na początku bieżącego roku dwustronną mapę „Bieszczadzkie Pogranicze”. Wbrew podtytułowi jej zasięg obejmuje terytoria trzech państw. Jest to bodajże pierwsza polska mapa w skali 1:50 000 obejmująca właściwie w całości słowacką i

ukraińską część Bieszczad Zachodnich. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z obszarem zamkniętym od północy i wschodu przez granice państwowe, zaś od południa i zachodu przez drogi Humenne – Ubla oraz Humenne – Medzilaborce. Ukraiński fragment mapy to dolina rzeki Už stanowiącej oś Użańskiego Parku Narodowego. Ostatnia, polska część to teren Bieszczadzkiego Parku Narodowego plus okolice Cisnej i Komańczy. Pozycja ta stanowi więc

idealne rozwiązanie dla łazików pragnących odwiedzić naszych sąsiadów bez targania całego zestawu map.

Bieszczadzkie Pogranicze zaskoczyło mnie również kilkoma nowościami. Otóż okazało się, iż ostatnimi czasy powstało na Słowacji kilka nowych szlaków turystycznych. Najbardziej sensacyjnym faktem jest przedłużenie czerwonego oznakowania z Novej Sedlicy aż do przygranicznej Ubli, żeby było ciekawiej, ma ono trzy odgałęzienia – dwa nowe żółte i stare niebieskie. Świeże odcinki zaprowadzą Was kolejno do Ubli i Ulicza, a niebieski przez Ruski Potok do Topoli. Odcinek Nova Sedlica – Ubla poza jednym asfaltowym fragmentem przedstawia się bardzo ciekawie. Znajdzie się tu „typową” wschodniokarpacką mieszankę – zabytkowe cerkwie, solidny las, cmentarze z I i umocnienia z czasów II wojny światowej oraz piękne widoki. Kolejnymi nowościami są niebieskie szlaki dochodzące do Medzialborców i ich okolicy, z granicy w rejonie Łupkowa oraz Jasiela. Przy tej okazji warto wskazać, że wydawnictwo Compass zlikwidowało nareszcie martwe pole między Wielkim Bukowcem a przełęczą Beskid nad Radoszycami.

Równie interesująco prezentuje się strona ukraińska, gdzie dopiero stosunkowo niedawno powstała cała sieć szlaków. Oprócz głównego czerwonego zza Przełęczy Użockiej do Wielkiego Berezno, można się obecnie przejść jego zielonym i niebieskim odgałęzieniem odpowiednio na

przełęcz Bukowską oraz do wsi Stawne. Ciekawostkę stanowi inny półkilometrowy niebieski wypustek prowadzący zboczem pogranicznej góry Stinka. Jego ślepe niestety zakończenie prowadzi do **miejsca upadku 300 kilogramowego meteorytu**, który spadł tu w roku 1866. Na Ukrainie znajdziemy wspomnianą wyżej mieszankę z tą jednak różnicą, że nasycenie niektórych jej składników będzie większe. Rejon Użu jest bowiem naszpikowany zabytkowymi cerkwiami, umocnieniami i cmentarzami wojennymi oraz porośnięty w znacznej części lasem. Niewątpliwym atutem tego obszaru jest linia kolejowa biegnąca przez przełęcz Użocką, a mankamentem brak bezpośrednich przejść granicznych/turystycznych za wyjątkiem tego z Wielkiego Berezno do Ubli.

Moim zdaniem jedynym poważnym mankamentem tej mapy jest to, że wydając 11 złotych dostajemy do ręki nie-trwały papier. Bardziej wymagający turysta-hardkorzysta musi więc sam zająć się jej laminacją. Udogodnieniem dla osób preferujących rozwiązania elektroniczne jest możliwość jej instalacji na różnorakich „zabawkach.”

Podsumowując, jeżeli ktoś czasem lubi wyskoczyć za miedzę, powinien poważnie rozważyć zakup Bieszczadzkiego Pogranicza. Może będzie to dla Was inspiracją do eksploracji mniej znanych zakątków Karpat? ■

Co pić w górach, aby się napić

Kacper Gierlach

W trakcie wędrowki tracimy wodę. Głównie pocąc się przez skórę, ale także z wydychanym powietrzem. O intensywności odwadniania decyduje kilka czynników. Temperatura i wilgotność powietrza, intensywność wysiłku, dobrany ubiór, przyjmowane leki, osobiste predyspozycje. Jeśli jesteśmy w formie, na dworze jest chłodno i wilgotno ubytek wody będzie nieznaczny i bez kłopotu uzupełnimy go przeciętną dietą. Z jedzeniem (gotowany ryż, warzywa, mięso, sosy, owsianka) przyswajamy spore ilości płynów i pierwiastków. Na ogół to wystarcza. Gorzej, gdy pot zalewa nam czoło przez wiele godzin. W niesprzyjających warunkach możemy tracić nawet 3 litry wody na godzinę. Łatwo wówczas o odwodnienie organizmu. Początki są podstępne. Organizm niedostatki płynów komunikuje nieudolnie. Pragnienie pojawia się podczas wysiłku. Ugaśi je niewielka – w porównaniu z zapotrzebowaniem – ilość płynu. Po całonocnej wędrowce i dobrnięciu do schroniska wypijamy np. litr mineralnej wody i pić nam się odciekwa. W rzeczywistości zaś, jesteśmy wciąż znacząco odwodnieni. Nic nas nie boli, nie odczuwamy pragnienia. W zmęczeniu łatwo przeoczyć fakt, że częstotliwość oddawania moczu spada. Później pojawia się uporczywy ból głowy, którego nie uśmierzają leki przeciwbólowe. A dalej: zawroty głowy, pogorszenie widzenia, osłabienie, problemy z układem krążenia itd. aż do utraty przytomności i śmierci. Jak się przed tym ustrzec?

Garść faktów

Pocąc się tracimy wodę wraz z jonami pierwiastków: sodu (pot jest słony), potasu, magnezu, wapnia i chloru, odgrywającymi kluczową rolę w funkcjonowaniu układu nerwowego. Termin „odwodnienie organizmu” oznacza nie

tylko niedobór wody ile owej wodno-jonowej mieszanki, czyli – elektrolitów. I to właśnie tę mieszankę (elektrolity), a nie pierwszą lepszą „wodę” musimy pić chcąc uniknąć odwodnienia organizmu. Tu warto wspomnieć, że woda pozyskiwana w górach (czy to z potoku czy ze śniegu) jest na ogół miękka, czyli zawiera niewiele makroelementów.

Nieszczęсна zupa jonowa może być mniej lub bardziej gęsta. Jeśli stężenie jonów pierwiastków w napoju jest większe niż w naszych płynach ustrojowych mamy zupełną hipertoniczną. Jeśli mniejsze – hipotoniczną. Gdy takie samo – izotoniczne. Najefektywniej w trakcie wysiłku przyswajane są napoje izotoniczne. Roztwór hipotoniczny (np. woda z potoku czy butelkowana) wchłania się najszybciej jednak ma zbyt mało minerałów. Roztwór hipertoniczny z kolei wchłania się zbyt wolno i chwilowo jeszcze bardziej odwadnia organizm.

Z wyżej wymienionych powodów herbata, kawa, soki owocowe, woda butelkowana (źródłana i mineralna), „woda z pluszem” czyli multiwitaminą jako źródła elektrolitów są takie sobie lub zupełnie do luftu. Herbata i kawa – niemal brak minerałów, działanie moczopędne: zwiększają wydalanie wody z organizmu; soki owocowe – za mało np. sodu, za dużo potasu, są hipertoniczne – wchłaniają się powoli; woda mineralna (tu: Muszynianka) – znacząco za mało sodu i potasu; multiwitamina Plusz z minerałami – zupełna pomyłka: zero potasu, zero sodu, przy zalecanym dawkowaniu (4 tabletki na litr wody) kilkukrotne przekroczenie zalecanych dziennych dawek witamin (inna sprawa, jaka jest skuteczność przyswajania tych witamin).

Ogromną wagę do wypijanych napojów muszą przywiązywać wyczynowi sportowcy (np. maratończycy). Poza wyjątkowymi sytuacjami przeciętni turyści górscy niekoniecznie. Mimo to, decydując o wyborze ekwipunku war-

to zwrócić uwagę na produkty, które będą nawadniać lepiej niż przeciętny napój. Prawdopodobnie nie będzie to kwestia życia i śmierci, ale może poprawić samopoczucie i możliwości fizyczne. Jeśli możemy lepiej zadbać o nasz organizm, dlaczego nie?

Co zabrać w góry

Na potrzeby sportowców opracowano specjalne, tzw. napoje izotoniczne. Uwaga: niektórzy mylą je z napojami energetycznymi typu red bull. Tym łatwiej, że w sklepach spożywczych stoją obok siebie. To zasadnicza pomyłka. Napój izotoniczny (np. Isostar czy Powerade) NIE MA nic wspólnego z red bullem. Ten ostatni jest generalnie niezdrowy, groźny w zbyt dużej ilości. Zawiera kofeinę, taurynę i podobnie działające związki chemiczne poprawiające pracę ośrodkowego układu nerwowego. Zwiększa np. zdolności poznawcze. Jednak absolutnie nie uzupełnia elektrolitów w organizmie, wręcz przeciwnie, ma działanie moczopędne. Innymi słowy, jest zupełnie innym produktem, stworzonym w zupełnie innym celu niż napoje izotoniczne. Te są, zwłaszcza najlepsze, zupełnie nieszkodliwe. Isostar nie zawiera sztucznych barwników czy konserwantów. Można je pić litrami.

Napój izotoniczny to woda z dodatkiem (w odpowied-

niej ilości i proporcjach) makroelementów: głównie sodu, wapnia, potasu i magnezu. Często także węglowodanów (sacharozy, glukozy, dekstrozy) przydatnych podczas wysiłku. Dodatkiem są substancje smakowe. Niektóre produkty, choć używane powszechnie, bywają przedmiotem krytyki. Izotonik izotonikowi nierówny. Powerade produkowany przez Coca colę zawiera kontrowersyjny barwnik. Dopuszczony do użytku w UE i Stanach Zjednoczonych, ale już w Japonii zakazany. Inna sprawa, że niepewnych substancji jest dookoła nas mnóstwo.

Z powodów logistycznych zabieranie na szlak litrów gotowych napojów nie wchodzi w grę. Zostają produkty do rozpuszczenia w wodzie. W proszku lub musujących tabletkach. Tak sprzedawany jest wspomniany już klasyk - Isostar. A także Isosport firmy Kruger czy Electroactive produkowany przez Activelab. Można także pokusić się o spreparowanie napoju samodzielnie. Dodanie do wody soli, cukru i soku z cytryny (kwasku cytrynowego) pozwoli uzyskać całkiem efektywny napój. Inne pomysły są dostępne w sieci. Przyrządzając napój trzeba pamiętać o proporcjach tabletki/woda. Sądzę jednak, że nawet rozcieńczony izotonik (a więc hipotoniczny) będzie lepszym rozwiązaniem niż herbata.

Na zdrowie! ■

Astrobeskid: kosmos na pipancie

czyli gwiazdne uniesienia wśród wonnej smreczyny

Maciej Szuba

Zauważyliście zapewne telepiąc się nocą po chaszcach, że coś w tym lesie świeci poza kolumną czołówek i okazjonalnym smartfonem. Na nieboskłonie, kiedy chmury łaskawie pójdą won, widać takie ładne jasne kulki. I czasem jedną większą. Kilkadziesiąt wieków temu, łącząc wybujałą fantazję, sztukę opowiadania, zabawę w „połącz kropki” i zapewne potężne używki posklejali je w mniej bądź jeszcze mniej sensowne kształty, opisując historiami.

Pomijając formę gwiazdozbiorów, opowieści, które je spletają są ze sobą tak wspaniale powiązane, że gwiazdne historie można snuć godzinami, przechodząc płynnie od jednego gwiazdozbioru do drugiego. Są one na tyle uniwersalne, że nadają się na każde miejsce na naszej półkuli – gdziekolwiek nie rozbilibyście biwaku, Smok, Niedźwiedź i Kasjopeja będą wam wisieć nad głowami. Świecą tak samo w Karpatach i Apalachach, i są świetnymi kompanami każdego ogniska. Można też orientować się za pomocą gwiazd, sprawdziłem na wiosennym – działa! Ale najpierw dobrze by było coś o nich wiedzieć. Na przykład, gdzie je widać?

Warszawa nie jest najbardziej atrakcyjnym terenem do obserwacji nieba, ale nie po to jeździmy w góry, żeby narzekać na stolicę. Im więcej światła na ziemi, tym mniej widać go tam, na górze. To zanieczyszczenie światłem, które, choć dla człowieka wygodne, w przyrodzie wprowadza chaos. Na przykład świetliki nie odróżniają własnych lampek od odległych światła cywilizacji, przez co samiczki wolą kłębić się wokół latarni niż ulegać zalotom samczyków.

Zanieczyszczenie światłem ogranicza też znacznie przyjemność płynącą z obserwacji nocnego nieba. Ma ono różną skalę, zależną od stopnia urbanizacji okolicy. Dla pro-

stego zobrazowania sytuacji: Kasjopeja, bardzo charakterystyczny gwiazdozbiór. W Warszawie naliczyłem pięć gwiazd widocznych gołym okiem. W Krakowie było ich już widać osiem, na Pogórzu Dynowskim doliczyłem się dwudziestu czterech, a w Beskidzie Niskim nie dałem rady, widoczne stały się drobne pyłki, których mój wzrok już nie ogarnął. W takich miejscach warto jest mieć ze sobą lornetkę, albo wcześniej rozważyć nie niszczyć oczu, większość życia ślęcząc przed monitorem.

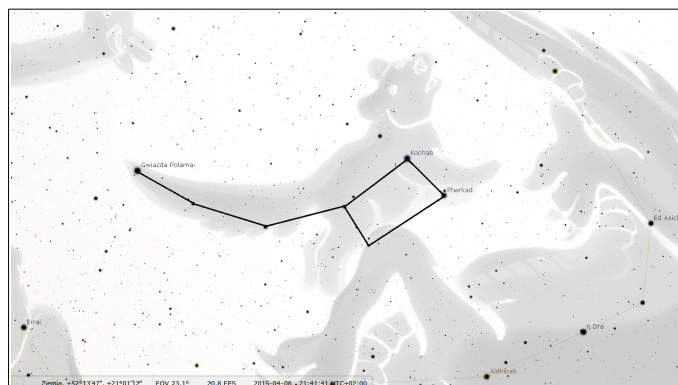
Im dalej od siedzib ludzkich i światła, tym lepiej. W Polsce ażylem czystości nocnego nieba jest worek bieszczadzki, od Szerokiego Wierchu po Połoninę Bukowską. Tam można zaobserwować zjawisko, którego osobiście jeszcze nie doświadczyłem, ale jest to jak najbardziej do zrobienia. W bezksiężycową noc, przy czystym niebie (czyli nów ma być, a bez chmur i nocka chłodna – musowo polarek i termosik) można zobaczyć cienie rzucane od światła Drogi Mlecznej. Przyznaję, że cienie w świetle księżyca są niezwykle, więc czym musi być cień w świetle galaktyki!

Ale do rzeczy. Trzeba poznajdować to dziadostwo.

Niebo zmienia się z każdą porą roku – w marcu widać na nim zupełnie co innego niż we wrześniu. Jednak jest grupa gwiazdozbiorów, która wisi nam nad głowami bez przerwy. To konstelacje okołobiegunowe, bardzo łatwe do odnalezienia. Ad rem.

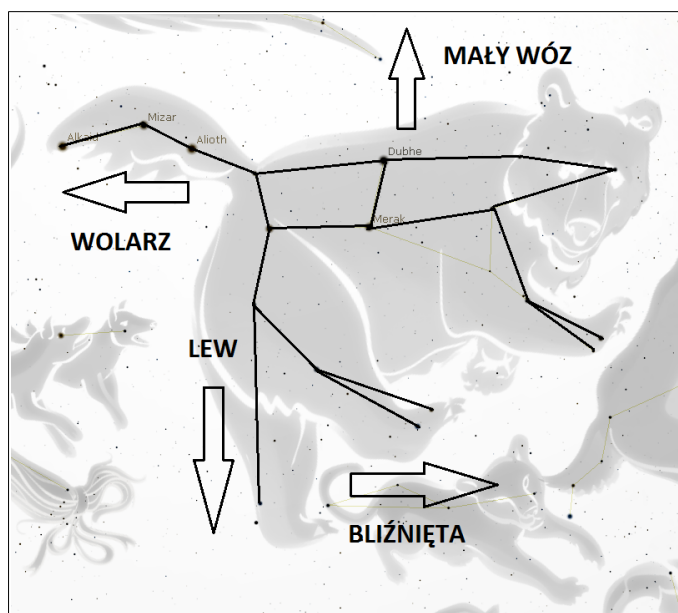
Wielki Wóz, czyli Wielka Niedźwiedzica bez łapek. Najłatwiejszy do odnalezienia, potężny gwiazdozbiór zajmujący kawał nieba. Warto zwrócić uwagę na drugą od końca gwiazdę w „dyszlu” wozu – Mizara (arab. rumak). Gdy się bliżej przypatrzeć, widać zaraz obok drugą gwiazdeczkę, nieco mniejszą. To Alkor (arab. jeździec). Podwójność tej gwiazdy (w sumie gwiazd, są dwie) wykorzysta-

wano w armii Napoleona do sprawdzania wzroku rekrutów. Sama zaś Niedźwiedzica to według Greków Kallisto, nimfa zbałamucona przez Zeusa, który zamienił ją później w miśka i powiesił na niebie. W całą aferę zamieszana była jeszcze Artemida, ale – jako że to cała telenowela – polecam zbadać sprawę na własną rękę.



Wielka Niedźwiedzica.

Dużego Miśka warto znać, pozwala bowiem na łatwą orientację na nieboskłonie. Można dzięki niemu na przykład znaleźć Małego Miśka. Mała Niedźwiedzica, nieco mniej wyraźna, zawiera w sobie kluczowy punkt naszego nieba – Gwiazdę Polarną. Warto więc wiedzieć, gdzie ma swoją gawrę. Bierzymy dwie tylne gwiazdy z paki Wielkiego Wozu i powielamy ten odcinek plus minus siedem razy, jadąc w górę. To właśnie Gwiazda Polarna. Niepozorna, nie? A czego się spodziewaliście, fajerwerków? Bajer w tym, że wskazuje północ i pozostaje na swoim miejscu non stop całą noc – reszta ferajny kręci się wokół jak na karuzeli. Od Gwiazdy Polarnej, która tworzy czubek dyszla Małego Wozu (czyli Małego Miśka), można jak po sznurku znaleźć resztę wehikułu, choć nie świeci on tak mocno jak większy kolega.



Mała Niedźwiedzica.

Co na to Grecy: Mała Niedźwiedzica to syn Kallisto i Zeusa, Arkas. Wybrał się on zrazu na polowanie i w gęszczach ujrzał niedźwiedzicę – własną matkę, przemienioną przez władcę bogów. Zamierzył się do niej z łuku i już miał wystrzelić, gdy Zeus powstrzymał jego rękę, by nie

dopuścić do eskalacji rodzinnej tragedii. Przemienił Arkasa w niedźwiadka i umieścił oboje na niebie. Żeby nie było tak słodko, pomiędzy jednym miśkiem a drugim wije się Smok. Tworzy go szesnaście gwiazd, a w październiku (około 8.10.) pluje ogniem – pojawiają się wtedy Drakonidy, meteory siekące atmosferę w okolicy paszczy gada. Historia konstelacji jest znacznie starsza, powstała bowiem podczas wczesnych wojen bogów z tytunami. Wtedy to Atena walczyła ze Smokiem – i podczas zażartego pojedynku chwyciła go za ogon i cisnęła w górę. Potwór przeleciał sfery niebieskie i uderzył w nieboskłon, wbijając się weń i przymarzając na dobre. Skręcony w wielki supeł, Smok trwa do dziś skostniały pod północnym biegunem nieba. Nie wiem, czy paskudztwo spadnie, ale kiedy to się stanie, wolę być gdzie indziej.



Smok i Mały Miś.

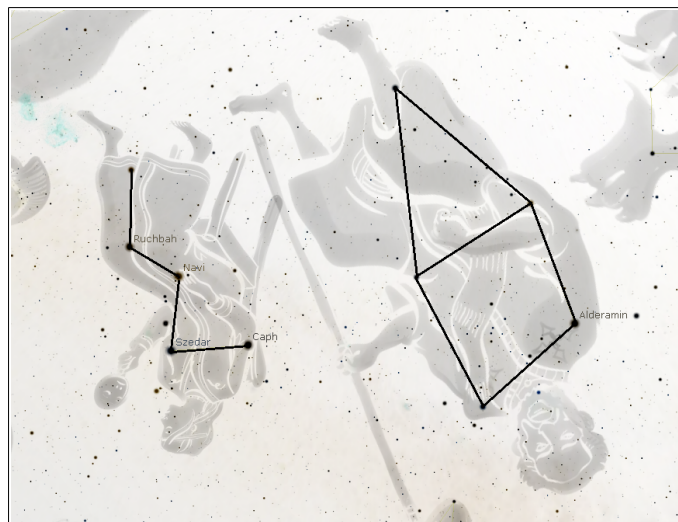
Kasjopeja. Też gruba historia, będzie w odcinkach.

Kasjopeja była żoną Cefeusza, króla Etiopii. Niesamowicie piękna i jednocześnie pyszna, nosiła się z samozwańczym tytułem najpiękniejszej kobiety świata. Dała się tym we znaki nereidom, nimfom morskim, córkom królowej morza Amfitryty. Pani mama w geście zemsty zesłała na Etiopię falę powodzi i zniszczenia, a z głębin wynurzył się Lewiatan, by pożerać statki, które zapuściły się zbyt daleko od wybrzeża. Aby przebłagać urażone nereidy, Kasjopeja musiała złożyć Lewiatanowi w ofierze swoją córkę, Andromedę.

Konstelacja bardzo łatwa do znalezienia, przypomina wielkie W albo E – zależy od punktu widzenia. W tle ma Drogę Mleczną, przy dobrej pogodzie przez lornetkę wygląda niezmiernie. Dzięki Kasjopei również można odnaleźć Gwiazdę Polarną, trzy środkowe gwiazdy układają się w strzałkę, która wskazuje kierunek na Berlin. Małą Niedźwiedzicę, w sensie że.

Cefeusz. Mąż Kasjopei, wisi tuż obok niej. W historii nie odegrał wielkiej roli, nakazał tylko przykuć Andromedę do urwistej skały nad brzegiem morza, by Lewiatan mógł

ją wygodnie pożyć. Na nieboskłonie przedstawiony jest z uniesionymi w górę rękoma, błagając o łaskę dla córki.



Kasjopeja i Cefeusz.

Kształt ma z grubsza pięciokątny, zawiera się w nim kilka ciekawych elementów, między innymi najmaszywniejsza czarna dziura na niebie i czysto czerwona gwiazda. Chińczycy w swojej astronomii nazwali ten fragment nieba „Czarnym węzółkiem zimy z północy”. No further questions.

Niebo wiosenne oferuje widok Raka, Lwa, Panny, Wagi i Wolarza, w marcu widoczny też jest gwiazdozbiór Bliźnięt. Zaczynamy od zodiaku:



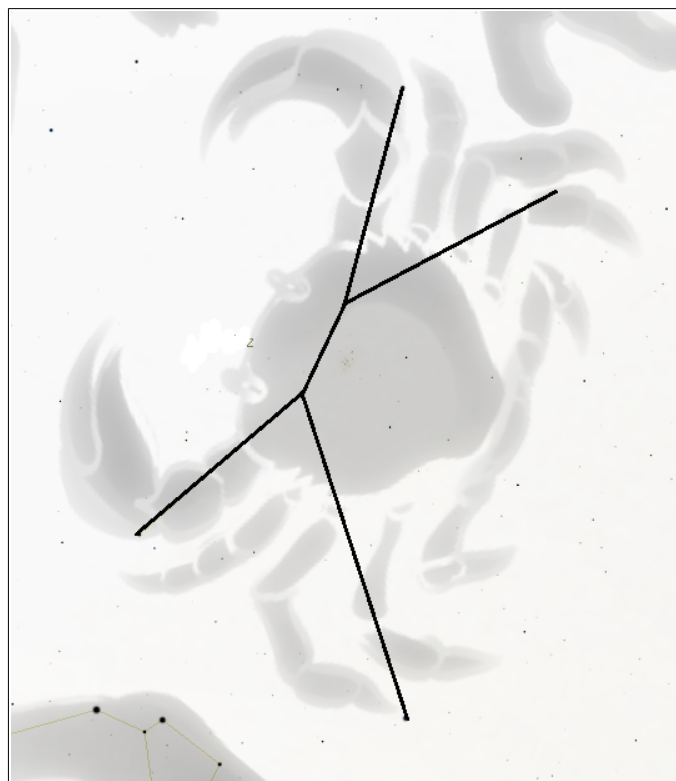
Bliźnięta - Kastor i Polluks.

Bliźnięta – Kastor i Polluks, dwaj synowie Zeusa i królowej Sparty, Ledy. Możecie sobie wyobrazić, co za twardezie musieli powstać z takiego związku. Zeus uwiódł Ledę w postaci łabędzia (taki gwiazdozbiór też jest), a królowa dla niepoznaki tej samej nocy zaciągnęła do łóżka

męża. I opłacało się, bo w następstwie tych upojnych chwil Leda złożyła jaja, z których wykluły się dzieci. Kastor był synem króla Sparty, a Polluks króla bogów, i tylko on uzyskał nieśmiertelność – jego brat musiał zstąpić do Hadesu. Zdolne z nich były bestie, Kastor potrafił okiełznać każdego rumaka, co więcej, nie miał sobie równych w łucznicztwie. Polluks zaś kruszył kości przeciwników w zapasach, nikt nie ocalał się w kleszczach jego uścisku. Wyruszyli oni wraz z Jazonem do Kolchidy (dzisiejszej Gruzji) po złote runo – niestety Kastor został zabity w trakcie wyprawy. Jako śmiertelnik musiał zginąć za Styksem, ale Polluks wstawił się za nim u Zeusa, który umieścił obu braci na nieboskłonie, by nie rozrywać ich przyjaźni nagłą śmiercią.

Kształtem konstelacja przypomina dwie równoległe linie o najjaśniejszych gwiazdach naprzeciwko siebie. Gwiazdy te to, oczywiście, Kastor i Polluks. W środku grudnia (14.12.) okolicę gwiazdozbioru sieką Geminidy – bogaty rój meteorów, do 100 zdarzeń na godzinę.

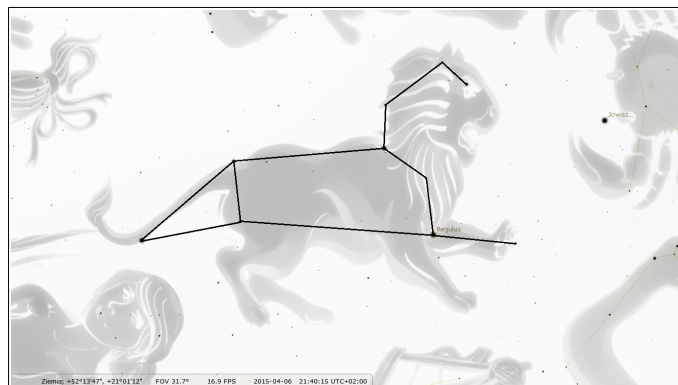
Rak znajduje się pomiędzy Bliźniętami a Lwem. To dość niepozorny gwiazdozbiór złożony z niezbyt jasnych gwiazd, widoczny jedynie w miejscach o niskim zanieczyszczeniu światłem. Według legendy olbrzymi skorupiak uczestniczył w walce Herkulesa z Hydrą – ucałował herosa za nogę i nie chciał puścić, a wtedy dopadł go Jolaos, pomagający Herkulesowi wojownik. Na niebo Rak trafił dzięki zazdrosnej małżonce Zeusa, Herze, która umieściła go zaraz obok Hydry. Miała kobieta powody do zazdrości, podczas lektury mitów można odnieść wrażenie, że Zeusa pociągały wszystkie wokół, tylko nie żona.



Rak.

Lew. Piękny gwiazdozbiór, łatwy do odnalezienia – przypomina odwrócony pytańnik, tworzący grzywę kocura, a ciało ciągnie się dalej trójkątem gwiazd nieco na lewo. W konstelacji znajduje się Regulus, jeden z wierzchołków Trójkąta Wiosennego.

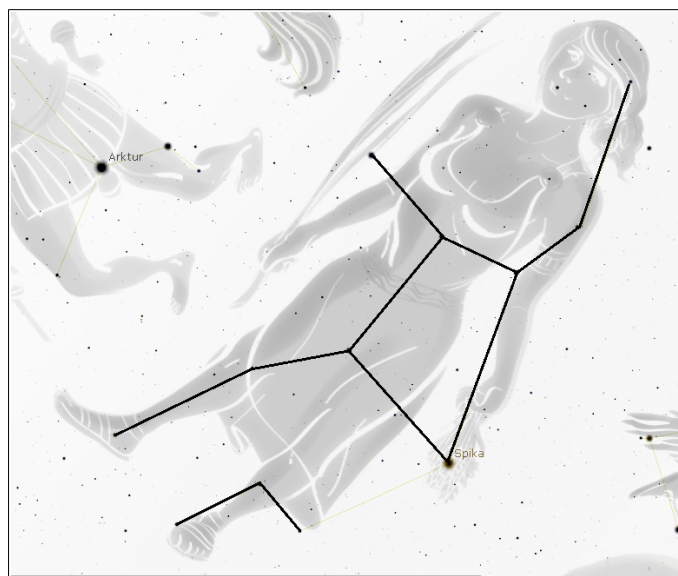
W mitologii był to Lew Nemejski, pustoszący jedną z dolin wschodniego Peloponezu. Nie pytajcie o jego pochodzenie, kwestie rodzicielstwa w tym przypadku są ciężkie do ogarnięcia. Herkules miał go zatłuc – to pierwsza z jego dwunastu prac. Problemem była pancerna skóra potwora. Strzały wypuszczane z łuku odbijały się jak kaczki, miecz wygiął się na niej w paragraf, maczuga strzaskała w drzazgi, a lew nie! Herkules wparował więc do jego leża i zadusił na śmierć. Potem zdarł z niego skórę, zrobił z niej kuloodporne palto, a truchło bogowie zawiesili na niebie.



Lew.

Panna to olbrzymi gwiazdozbiór zawierający około 100 obiektów, z których pierwsza rzuca się w oczy Spika, po polsku kłos. Jej pojawienie się na niebie wypada na okres zasiewów – i wszystko jasne. Konstelacja znajduje się pomiędzy Lwem a Wagą, na pasie zodiakalnym. Graniczy też z Wolarzem.

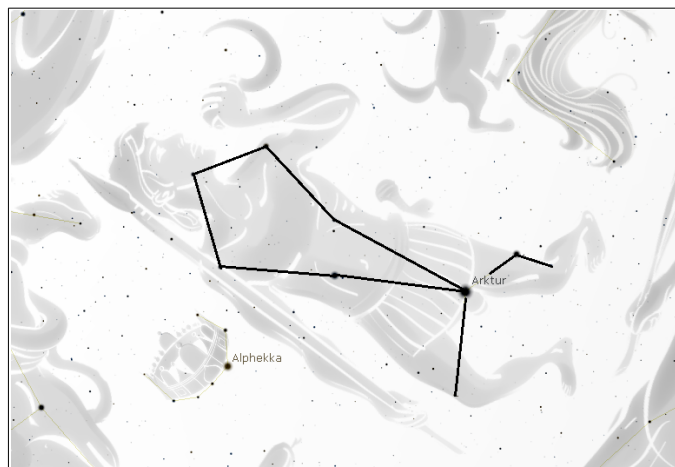
A co to za Panna? Zależy, kogo zapytać. W Mezopotamii mówili, że Isztar, w Egipcie że Izysa, a Grecy widzieli w niej kolejną niesłubną córkę Zeusa, zaangażowaną w szerzenie praw boskich, Astreę. Jako że ludzie nie chcieli sprawiedliwości, zrażona wróciła na nieboskłon.



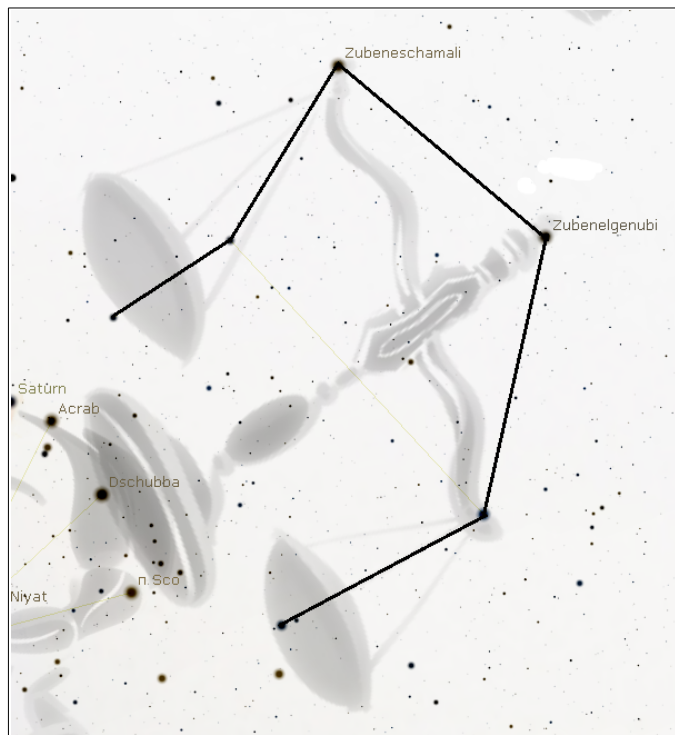
Panna

Wolarz, a w nim Arktur – ostatni wierzchołek Trójkąta Wiosennego. Znajdźcie Regulusa, Arktura i Spikę, a pośrodku tej ferajny czeka Was nie lada gratka – dobrą

lornetką można tam dojrzeć kupę galaktyk. Wolarza szukać należy między Wielkim Wozem a Panną – jakby tak pojechać po dyszlu krzywą w stronę Spiki, Wolarz leży po drodze. Ma on przedstawiać Arkasa, tego samego co wcześniej. Poluje on na niedźwiedzia i nie wie, że sam zostanie zmieniony w kudłate zwierzę.



Wolarz.



Waga.

Waga jest niepozornym gwiazdozbiorkiem wciśniętym między Skorpiona i Pannę. Kiedyś widziano w niej szczypce skorpioniszcza – stąd najjaśniejsze gwiazdy to Zuben Elgenubi i Zuben Elschemali, kleszcz południowy i północny. Jest jeszcze Zuben Elhakrabi i myślę, że z tym krabem coś jest na rzeczy. Tymczasem druga teoria przyporządkowuje Wagę Pannie – atrybut sprawiedliwości. Brakuje tylko opaski na oczy. Kształtem konstelacja przypomina wagę szalkową, choć wszystko zależy od wyobraźni patrzącego. ■

Piosenki z wiosennego

Marta Cobel-Tokarska i Karolina Witrowa (wtedy Nowicka)

Przejsie Wiosenne 2007 było wyjątkowe, jeśli chodzi o twórczość artystyczną. Kameralna grupa - 5 kursantów oraz 1 instruktorka (Marta) i 1 praktykantka (Karolina) przedzierała się przez ostępy Beskidu Niskiego i Bieszczadów. Kursanci na każdym postoju zasypiali wyczerpani nadprodukcją adrenaliny, a my, jakoś w ogóle nie śpiące i mało zmęczone, darłyśmy się wniebogłosy, wymyślając kolejne piosenki na melodię znanych przebojów. Artykuł opisujący dokładnie przejsie przedrukowujemy za archiwalnym numerem Biuletynu, ukazał się on wówczas w rubryce pt. "Z pamiętnika młodej kursantki", choć autorka, jako żywo, czasy kursanckie miała już za sobą... Jest tam dokładna legenda, pozwalająca zrozumieć, o co chodzi z larwami, lafiryndami, i całą resztą naszego hermetycznego słownictwa. Pozdrawiamy serdecznie uczestników przejsia, którzy honorowo dotrwali do samego końca: Anię "Neo" Drożdżewską, Magdę "Madziarę" Tomaszew-

ską, Jagodę Pilch, Arka Kalickiego i Maćka Krzyworączkę:)

Na melodię: Jesteś moją bitwą nieskończoną

Jesteś larwą z wiosennego,
zagubioną gdzieś pomiędzy kursantami
i przełączą na której co dzień
uciekałem przed instruktorami

Na melodię: Łemata

Pamiętam tylko była 4 nad ranem
a ja siedziałem gdzieś, nad jakimś jarem.
I pomyślałem że już nie wiem, co robić
I właściwie ktoś mógłby mnie dobić
Pójdę jarem, a Ty grzebietem,
zjem z mielonką, Ty z pasztetem,
Flądrą ja, larwą Ty,
czy instruktor będzie zły?

Na melodię: Wszystko się zdarzyć może

(zejście do Łopienki - piosenka instruktorek)

Wszystko się może zdarzyć
Madziara może zjarzyć
Czy bardzo to niedobrze czy bardzo źle? O-o!
W jarze może zdarzyć się...
To nie jest grzbiet
Rzeczy naprawdę dzieją się
Czy śpisz czy nie śpisz
otaczają Cię
Z każdej strony
Otwórz oczy, otwórz ręce
By wygrzebać jak najwięcej
Jar nazwiemy imieniem Twym
Królujesz im...

Na melodię: Taki duży, taki mały

(w megaburaku)

Taki Arek z Lafiryndą może zamkiem być!
Taki Arek z Lafiryndą może zamkiem być!
Arka Lafirynda
wielka jest jak winda
Jest zadowolona
bo na plecach noszona
Cyca ma Madziara
straszna to poczwara
że na plecach leży
nikt jej nie uwierzy
Maciek ma Wieśniaka
niezła z tego draka
Buty z larwiej skóry
Mają same dziury



Pieśń „Z tamtej strony lodówki”

Karusia

Z tamtej strony lodówki
Leżą sobie parówki.
Na tej parówce, na tej zieloniutkiej
Trzej gronkowce grasują.
Nie byli to gronkowce,
Jeno trzej paciorkowce,
Co się spierali o jedną parówkę,
Który Ci ją dostanie.
Jeden mówi tyś moja,
Drugi mówi, jak pleśń da.
A trzeci na to: moja najzieleńsza
Czemuś mi tak obślizgła.
Jak obleśną nie mam być?
Do Biedronki każą iść.
Czasu tak niewiele, jeszcze dwie niedziele
I w Ludwiku będą myć.

Rys historyczny:

Parówkowa wersja piosenki powstała podczas jednej z Działkówek SKG (u Mai [Bednarz] Sawickiej w Secyminie Polskim - chyba w 2009 roku, ale nie dam się za to pokroić) przy ognisku, jako odmienna forma śpiewanej do urzygu Lipki. Była niezwykle spontanicznym tworem zapisanym w świetle czołówki na skrawku kartki wydartej ze śpiewnika. Przysporzyła wielu czkawek i bólów brzuchów nie tylko podczas Działkówek, ale przy większości klubowych ognisk i od tego czasu weszła na stałe do repertuaru wokalnego SKG. Autorkami tej radosnej twórczości są Karolina Karusia Witrowa oraz Marta Cobel-Tokarska, która skrzętnie spisywała słowa utworu. A autorem puenty o Biedronce jest Strzelec ☺ ■

Przypadki Samotnego Odyńca

czyli jak zwałem z galer

Grzegorz Kaczmarek

15 grudnia

Kolejny dzień kręcenia się po sklepie. Jarzeniówki torturują moje oczy, a płynące z głośników dźwięki szarpia nerwy. Nie ma okien, więc zatracam poczucie czasu i baczę, by znowu nie paść ofiarą wentylacji. Biegam jak ten kot z pęcherzem do ciągle włączających się alarmów. Jedno dotknięcie kurtki i już rozlega się bip!, bip!, bip! „Wymyślny” system zabezpieczeń odstrasza bardziej klientów niż złodziei, ale trzeba robić dobrą minę do złej gry. Jak ten służący w „Skąpcu” Moliera, pełnię jednocześnie kilka funkcji – jestem sprzedawcą, ochroniarzem i sprzątaczką w jednej osobie. I tak mogę uważać się za szczęśliwca, bo nie dołożyli mi do tego obsługi kasy (ci, których spotkał ten zaszczyt, nie mają tego w umowie, ale nie czepiajmy się szczegółów!).

22 grudnia

Nareszcie 21, koniec jedenastogodzinnego „wiosłowania” na galerze handlowej pod okiem wielkiego brata. Na sam jej widok dostaję mdłości. Już widzę nadzorcę galerników, przepraszam opiekuna sklepu, wołającego „nie grupuj się z innymi pracownikami!”, „stań po drugiej stronie sklepu!”, „nie siadaj!”, „zła organizacja pracy!”. Nawet gdy mam kilka dni wolnego, to i tak będę musiał tam wrócić. Mam ochotę zostawić to wszystko i wyjechać w góry!

4 stycznia

Tegorocznego sylwestra spędziłem na „Syberiadzie”, imprezie Klubu Turystycznego „Styki” z Politechniki Warszawskiej, w chałupie Elektryków pod Jasłiskami. Odpoczywając w moim ukochanym Beskidzie Niskim, miałem okazję zrobić kilka ciekawych tras, spotkać gromady mieszkańców lasu, poznać wielu fajnych ludzi, odbyć nieoczekiwaną podróż w Bieszczady, a przede wszystkim wyciszyć się w karpackim buszu. Odprawiłem też noworoczny szamanizm dwukrotnie obiegając chałupę Elektryków w różowych okularach i z wściekle niebieskim latawcem.

11 stycznia

Zderzenie z miejską rzeczywistością było przytłaczające jak nigdy. Ten wszędobylski hałas, przyspieszone tempo i tłumy ludzi. Upojny poranek na galerze. Nadzorca galerników śpiewa starą piosenkę – „Dzisiaj mamy do zrobienia 21 000, pamiętajcie o sprzedaży wiązanej buty + skarpetki, bo źle z tym wyglądamy na tle innych naszych sklepów!” To chyba jakiś zły sen! Wypisuję się z tego biznesu, bo jak tak dalej pójdzie, to dostanę fioła!

23 stycznia

Beskidzki szamanizm zadziałał, 15 stycznia zrzuciłem kajdany. Myśl o ucieczce kłuła się w mojej głowie od pewnego czasu, ale plan akcji wykrystalizował się w pierwszym tygodniu nowego roku. Po powrocie z „Syberiadzie” zacząłem szperać w internecie. Wytypowałem interesujące mnie miejsca i wykonałem kilka telefonów. W rezultacie trafiłem do schroniska pod Krawców Wierchem w Beskidzie Żywieckim. Sytuacja jaką zastałem, mówiąc najogólniej, była kiepska, więc zwinąłem zagłę i przegrupowałem się, by ruszyć w Bieszczady.



Na Połoninie Wetlińskiej.

30 stycznia

Od tygodnia jestem w baczówce pod Małą Rawką położonej w sercu Bieszczadzkiego Parku Narodowego, rzut beretem od granicy z Ukrainą i Słowacją. Jest to najbardziej na wschód wysunięte całoroczne schronisko PTTK. Choć przez ostatnich kilka lat szlajałem się głównie po Beskidzie Niskim oraz nie-parkowej części Bieszczad, to i pod Rawką zdarzyło mi się zajrzeć kilka razy. Owo miejsce zapadło mi w pamięć jako schronisko z klimatem, w którym wędrowiec czuje się jak w domu. Nawet w sezonie letnim, gdy przewijały się tu tabuny ludzi, każdy mógł liczyć na kąpiel do spania, ciepłą strawę, coś do poczytania i zwierzątki niegardzące pieszczołami. Pod względem fizycznym praca pod Rawką do najłżejszych nie należy, ale rekompensują to „bieszczadzkie fluidy”. Chyba nie bez znaczenia jest to, że w pokoiku na drugim piętrze mieszkał kiedyś Harasymowicz, a zaraz przy schronisku do dziś można zobaczyć powoli rozpadający się schron Majstra Biedy. Dziś również nie brakuje tu ciekawych ludzi. Często słyszę interesujące historie z serii „Wydarzyło się w górach”, od pracowników, goprowców, strażników granicznych oraz innych przyjaciół baczówki. Pozwolę sobie zaprezentować jedną z nich.

Bodajże w roku 2001 Michał, obecny gospodarz schroniska pod Małą Rawką, miał pod swoją pieczę „Chatę na Końcu Świata” w Łupkowie. Pewnego letniego dnia któraś z „rezydujących” tam turystek przez przypadek natknęła się na jakiś metalowe przedmioty tkwiące w ziemi tuż przed chatką. Michał od razu zorientował się o co chodzi; niewybuchy z II wojny światowej! Trzeba było natychmiast działać! Zapędził wszystkich do schroniska i trzymał ich tam do momentu przyjazdu powiadomionych saperów. Przyjechali rano i zabrali niebezpieczne pamiątki po operacji dukielskiej. Przy okazji obudzili wszystkich śpiących w schronisku, krzycząc przez megafon „hej wy w schronisku, możecie już wyjść!”. Pobudka musiała być niezła, ale obyło się bez urwanych kończyn :]

Dodam, że w przeciągu ostatniego półroczia byłem w Łupkowie trzy razy i z tego co wiem, jego bezpośrednie otoczenie jest „czyste”, natomiast w dalszych, północno-

zachodnich okolicach stanowiących kresy Beskidu Niskiego, czasem można poza szlakiem natknąć się na różne niespodzianki. Nie są to regularne wielkopowierzchniowe „pola minowe”, lecz pojedyncze czy kilkusztukowe okazy porożrzucane punktowo w lesie. Notabene, będąc na zeszłorocznym Przejściu Wiosennym znajdowaliśmy żelastwo w rejonie Wielkiego Bukowca, ale były to tylko nieszkodliwe łuski po pociskach. Podsumowując – szczególnie jeśli jesteście „gdzieś w krzaku” na południe od szosy Tylawa – Komańcza, miejcie oczy szeroko otwarte. Nie twierdzę, że nie należy tam chodzić, nie dajmy się zwariować! Beskid Niski to nie bośniackie góry, ale jeśli tylko namierzycie coś podejrzanego, nie dotykajcie tego, oznaczcie i powiadomcie choćby GOPR.



**Bacówka Pod Małą Rawką w styczniu.
6 lutego**

Cały mój „majątek” jestem teraz w stanie spakować do 75 litrowego plecaka. Bez trudu mieszczę się w „jaskółce”, małym dwuosobowym pokoiku przeznaczonym dla wolontariuszy. W schronisku mam wszystko, co mi do szczęścia potrzeba – dach nad głową, jedzenie, doborowe towarzystwo, coś do czytania i oczywiście góry na wyciągnięcie ręki. Oczywiście nie jest to kraina niczym nie zmaconej, wiecznej szczęśliwości. Bywały cięższe dni, gdy „stacjonowała” u nas większa grupa albo przewinęła się większa liczba ludzi, a trzeba brać pod uwagę, że ruch turystyczny zimą jest niczym w porównaniu z tym, co dzieje się tutaj od maja do października. A propos, niedawno oglądaliśmy na youtube krótki filmik zrealizowany przez TVP Rzeszów w roku 2005. Dawno już zdezaktualizowały się słowa poprzedniego dzierżawcy schroniska w rodzaju „minął bieszczadzki renesans” lub „w lipcu bywają takie tygodnie, że właściwie nikt nie schodzi do nas z gór”. W ciągu dziesięciolecia zaszła duża zmiana, mam wrażenie, że Bieszczady stały się drugimi po Tatrach najpopularniejszymi górami w Polsce. Obecnie to, co dzieje się w sezonie, jest dokładną odwrotnością cytowanych słów. Bacówka pod Małą Rawką jest położona w trójkącie Połoniny Caryńskiej i Wetlińskiej – rejon Tarnicy – Mała i Duża Rawka, czyli „oku letniego cyklonu”. Taka sytuacja, dobre zarządzanie i umiejętność pozyskania dopłat z Brukseli i Berna spowodowały, że spośród bieszczadzskich schronisk PTTK jest ono chyba w najlepszej sytuacji finansowej. Poza granicami parku narodowego ludzi wciąż jest mniej, a i schroniska PTTK zazwyczaj mają się gorzej.

13 lutego

Jakże inaczej jest stać po drugiej stronie okienka. To okazja do zapoznania się z „bebeczami” schroniska i poznania jego rytmu pracy. Wyznaczają go ruch turystyczny oraz trzy strategiczne pomieszczenia – kuchnia, kible i kotłownia. Dzień zaczyna się dla mnie o 6, 8 lub 10, a kończy odpowiednio o 18, 20 bądź 22, ale bywa, że przy wzmożonym ruchu siedzi się i dłużej. Wszystko ładnie się rozkłada, bo jest nas czwórka + wspomagający nas gospodarz z małżonką (oczywiście w sezonie jest kilka osób więcej). Choć jestem wolontariuszem, moje obowiązki właściwie pokrywają się z tym, co robią regularni pracownicy bacówki. Zajmuję się ogarnianiem kibli, pracuję w kuchni, sprzątam pokoje, odbieram telefony i obsługuję turystów. Szczególnie przez pierwsze dni popełniłem nie jeden błąd. Nie poddawałem się jednak, zadając rozmaite pytania i rozumując w myśl zasady „jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz”. Zaliczyłem kurs „ogarnianie w kuchni w wersji extreme”, m.in. obsługując półmetrową szatkownicę – zupełnie jak w muzeum etnograficznym. Pracowałem nad kondycją, wożąc do kotłowni drewno na taczce oraz zostałem wtajemniczony w sztukę improwizacji ze śrubokrętem i kluczem w ręce.



Wetlińska i gwiazdor San.

20 lutego

Dwie godziny na dobę i jeden wolny dzień w tygodniu pozwoliły mi na penetrację bliższej i dalszej okolicy. Do tej pory byłem na Połoninie Caryńskiej i Wetlińskiej, Małej Rawce oraz w okolicach Czarnej. Poza tym niezliczoną ilość razy gościłem na pobliskim Wyżniańskim Wierchu, skąd mogłem podziwiać rozległą bieszczadzką panoramę. Wokół góry, lasy i ten bezkres... Zawsze gdy patrzę na mapę Bieszczad, zdaję sobie sprawę, jak rozległy jest to obszar. Nikt tu ich polskiej części nie pojmuje w czysto geograficznych granicach. Przyjmuje się, że zawierają się między szosami Sanok – Lesko – Krościenko oraz Sanok – Komańcza – Łupków. Żeby było jeszcze ciekawiej, obszar działalności bieszczadzkiej grupy GOPR na zachodzie wykracza poza tę linię, sięgając aż po Wisłokę! Notabene mamy w kuchni radio, więc jesteśmy na bieżąco ze wszystkimi akcjami ratunkowymi, możemy się kontaktować z goprowcami i vice versa. Ostatnimi czasy właściwie w każdym tygodniu jest jakaś akcja. Najczęściej goprowcy interwenują we wspomnianym trójkącie.

27 lutego

Nie wiem, jak potoczą się moje dalsze losy, ale zapewne zostaną na dłużej w krainie, gdzie przyroda nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Właściwie jedyne, czego mi brakuje, to spotkań z rodziną i znajomymi, dlatego bardzo się ucieszyłem, kiedy ostatnio potwierdziło się, że tegoroczny Rajd Wielkanocny SKG jako punkt zgrupowania wybrał schronisko pod Małą Rawką. Już nie mogę się doczekać!

9 marca

W ostatni weekend było całkiem wesoło. Zawitali do nas stali bywalcy schroniska - tym razem aż 21 osobowa grupa z Humennego na Słowacji. Mili sąsiedzi i nasi turyści integrowali się przy leżajskim piwie i mocniejszych słowackich specjałach. Do naszych uszu docierały polskie i słowackie hity, spośród których przebojem wieczoru stały się "Hej, sokoły". W kuchni jak zwykle dowcipem błyszczał nasz nowy kolega Mateusz, opowiadając różne ciekawe historie. Sypał nimi jak z rękawa, gdyż przez kilka ostatnich lat pracował w wielu schroniskach, a jest też człowiekiem wesołym. Pod Wierchomlą wielokrotnie zapytywany o frytki i tym podobne frykasy wskazywał na sporządzoną własnoręcznie tabliczkę nad okienkiem "Najbliższy McDonald's 30 km czarnym szlakiem".

Kiedy tydzień temu wybrałem się do Lutowisk i zwiedzałem klimatyczny cmentarz, a następnie skierowałem się ku Otrytowi, zaliczyłem pogodowy przekładaniec. Mimo mocno przeciętnych warunków atmosferycznych, był to udany wypad. Miło było po półrocznej przerwie zajrzeć do Chaty Socjologa i pogawędzić z jej obsadą już jako członek "bieszczadzkiej braci". Zaraz potem zaczął się okres pięknej pogody. Słońce, rewelacyjna widoczność, plusowa temperatura i brak wiatru. Przerwy w pracy wykorzystałem więc na wędrowkę po Połoninie Caryńskiej oraz Rawkach. Syciłem oczy rozległą karpacką panoramą - widać było wszystko aż po Borżawę! Przedwcześniej zaś z Wielkiej Rawki miałem przyjemność obserwować zachód słońca. Był to przepiękne widowisko uwieńczone paradą czerwonej kuli pośród pastelowo-atramentowych chmur. Zapewne zima nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, ale ewidentnie ma się już ku wiosnie. Na północ od połonin i w dolinach białego puchu jak na lekarstwo. Słońce wytapia śnieg na grzbietach, w lesie zaczęły śpiewać ptaki, a dni stały się dłuższe. Obudziły się również niedźwiedzie, z którymi pod wsią Buk spotkał się m.in. pechowy poszukiwacz zrzutów jeleni.

Dziś miałem wolny dzień i podwieziony przez szefa wybrałem się z Wetliny na Riabą Skałę. Na szlaku nie spotkałem żywego ducha. Panowała cisza przeplatana ptasimi trelami. Jakby na potwierdzenie tego, że dni panowania królowej lodu są już policzone, gdy tylko stanąłem na granicy pod Riabą Skałą, od słowackiej strony nadleciał motyl cytrynek. Mała rzecz a cieszy, zwłaszcza na tle błękitnego nieba i jeszcze ośnieżonych gór! Dzisiejszy dzień był bardzo ciepły, w słońcu mogło być ponad dziesięć stopni. Widoczność znów była dobra. Z tarasu widokowego na Riabą można było widzieć wszystko w promieniu około 40 kilometrów. Na ostatnim planie dało się dostrzec Masyw Wychorlatu oraz graniczny grzbiet Stynki (SK/UA) oraz Kińczyk Bukowski położony z kolei na granicy polsko ukraińskiej. Pod wieczór wróciłem do Wetliny. Tu miałem

okazję zawrzeć znajomość z panem Jackiem, właścicielem Hotelu Górskiego w tejże miejscowości. Podczas rozmowy przy herbacie okazało się, że on też zwał z Warszawy...

16 marca

Gościła u nas grupa trzech Polaków + Syryjczyk. Jego pojawienie się postawiło na nogi połowę Bieszczad. No cóż, wszyscy dmuchają na zimne, a centrala w Sanoku bada sprawność odpowiednich służb. Żeby było ciekawiej, okazało się, że była to ekipa kochających inaczej. W związku z tym salwy śmiechu wzbudził nasz kolega paradujący w jedynym posiadanym na ten moment krwistoróżowym ręczniku. Jego mina była bezcenna. Mimo pewnych obaw udało mu się bez perturbacji dotrzeć i powrócić z pracowniczej łazienki.

Równie ciekawie musiało prezentować się oblicze naszego Mateusza, który rankiem wybrał się na Połoninę Caryńską. Gdy wychodził, schroniskowy podhalańczyk San spał, a przynajmniej tak to wyglądało. Jakież było jego zdziwienie, gdy stanął na szczycie i podbiegł do niego merdający ogonem San. Psiak dotarł tu szybciej choć wyruszył później i pobiegł trasą poza szlakiem. Mateusz zmienił plany i zamiast skierować się ku Tarnicy zawrócił ze zbiegiem do baczówki.

Ostatnimi czasy turystów nie ma w ogóle albo jest ich tak mało, że siedmioosobowa ekipa schroniskowa miała nad nimi liczebną przewagę. W tym tygodniu wolne dni wykorzystujemy na remont. Odświeżenie podłogi na piętrze, uzupełnienie wyposażenia pokoi, kuchenną rewolucję – rozbiórka starego pieca kaflowego i zmiana rozplanowania przestrzeni. Kolejna okazja do nauczania się czegoś pożytecznego jak np. obsługa wkrętarki.

Za oknem pogodowy przekładaniec, parę dni zimy, parę dni wiosny. Ciekawe jak szybko wytopi się te pół metra śniegu pod schroniskiem.

23 marca

Wielką radość miałem gdy w progi naszej baczówki weszli uczestnicy Rajdu Wielkanocnego. Staralem się przywitać ich po gospodarsku, tak jak na „przedstawiciela” SKG w Bieszczadach przystało. Większości osób nie znałem, ale było też kilka znajomych twarzy. Gdy tylko skończyłem pracę, dosiadłem się do Michała Wangrata i spółki. Po niedługim czasie porąbałem drewno i przygotowałem materiały palne na ognisko, przy którym miano blachować Majkę Stelmach. Słowa przysięgi Maja składała w obecności trzech przewodników, Maćków - Szuby i Warchałowskiego oraz Michała Wangrata, pod rozgwieżdżonym niebem w samym sercu Bieszczad. Ceremonię zakończyło kilkukrotne podrzucenie do góry arbiturientki kursu. Gdy postawiono ją w końcu na ziemi, część ekipy udała się z Maćkiem Szubą na gwiazdny spacer, a ja z pozostałymi zostałem, by pogawędzić przy ognisku. Gdy symboliczny płomień zgaśł, w schronisku odbyła się dalsza „część programu”. Rano pożegnałem się z moimi milusińskimi. Aż mi się łezka w oku zakręciła, gdy z werandy odprowadzałem wzrokiem ostatnią grupę Maćków dwóch zmierzających na Rawki. Gdyby nie pewien kwietniowy wyjazd pięć lat temu, nie byłoby mnie tutaj. To „tylko” kilka lat, a tyle wspomnień kłębi się w mojej głowie...

30 marca

Mam wolne i zamierzam hasać po górach od świtu do zmierzchu. Wstaję tuż po wschodzie słońca i zgodnie z

planem tuż po ósmej jestem już w Żłobku. Oglądam ciemnobrązowy kościółek, po czym ruszam drogą ku przełęczy mijając hodowlę jeleni. Wspinam się w górę porośniętego młodym lasem wału Żukowa. W drodze na Bucznik mijam kilka punktów widokowych – daje się nawet zaobserwować białe Połoniny i grupę Tarnicy. Zielony szlak spacerowy dobiega do regularnego turystycznego niebieskiego. Wszędzie widać oznaki wiosny. Nieobecność śniegu i ptasie trele cieszą oczy i uszy. Nad kielkującymi tu i tam kwiatkami uganiają się cytrynki, pojawia się świeża trawa. Jest tak ciepło, że zostaje w samym polarze, który zaraz muszę rozpiąć. Docieram do Równi, gdzie podziwiam piękną cerkiewkę. Pokonuję masyw Gromadzynia i ląduję w Ustrzykach Dolnych. Załatwiam swoje sprawy w aptece, sklepie

turystycznym i badam połączenia autokarowe z Bieszczadami oraz Górami Sanocko-Turczańskimi. Kolej nie funkcjonuje. Dworzec został wydzierżawiony przez PKP i można tam obecnie znaleźć m.in. agenta ubezpieczeniowego i prawnika. Po mieście kręcą się Ukrainki oferujące alkohol i chałwę, straż graniczna patrzy na to przez palce i nie wygania ich nawet spod Biedronki. Ruszam na północ ku grzbiecikowi Orlika podążając ścieżką spacerową. Przebijając się przez dziki las świadomie ją opuszczam. Idę na mapę i kompas, zmierzając nad brzeg Jasieńki. Przeskakuję na drugi brzeg i ląduję na przystanku przy skrzyżowaniu obok Jałowego. Po pół godzinie oczekiwania nadjeżdża mój transport do Ustrzyk Górnych. ■

Logistyka Wczasów Krajowych i Zagranicznych cz. I: sztuka pakowania się.

Paweł Marciniak

Wbrew usilnej propagandzie linii lotniczych, które coraz częściej starają się nam wmówić, że bagaż jest zbędnym luksusem; to, co ze sobą weźmiemy i w co się spakujemy pozostaje kluczowym zagadnieniem wpływającym na komfort i poczucie bezpieczeństwa. Wielu ludzi bierze sobie do serca słowa wyśpiewane przez królową polskiej estrady i nie dbają ani o bagaż, ani o bilet. Ale jest też grupa, dla której sprawa nie jest taka prosta. Już tydzień przed wyjazdem uwijają się jak w ukropie i wydrapują resztki włosów z głowy zastanawiając się, co wziąć, a czego nie (z naciskiem na to pierwsze). W każdym zakamarku mieszkania rosną kupki starannie ułożonych rzeczy naszykowanych do zabrania. Kupki się zmieniają wraz z naszymi burzliwymi myślami i ciągłymi zmianami decyzji. Względnie nie są starannie ułożone, lecz swobodnie porozrzucane. Temu ostatniemu stanowi rzeczy sprzyjają tacy sublokatorzy jak koty czy małe dzieci. Mimo ogromu wysiłku, gorączka pakowaniowa osiąga apogeum, gdy wielka kupa rzeczy naszykowanych do wzięcia konfrontuje się z plecakiem. Głowę dałbym sobie uciąć, że mój plecak był zawsze większy. No nic, trzeba to jakoś upchać. Jak bardzo bym nie ścisnął swoich skarpet, majtek i pedantycznie wyprasowanych koszulek i tak wszystko nie wejdzie. Przychodzi więc czas na selekcję. Czasem kilka selekcji, aby plecak się dopiął.

Jak już czytelnik się domyślił, należę do tej drugiej grupy, grupy nieszczęśników chronicznie niezdolnych do minimalistycznego spakowania się. Jeżeli ty też, czytelniku drogi – bardzo się cieszę. Nic tak bowiem nie raduje, jak widok towarzyszy podróży również siniejących na twarzy, gdy próbują podnieść swój toból. I nic tak nie podnosi na duchu jak przekonanie, że oni również taszczą ogromnie wielką masę przyzwoitych, lecz zupełnie zbędnych manatków. Przez lata, wraz z doświadczaniem kolejnych wyjazdów pogodziłem się z tym faktem, a nawet czerpałem satysfakcję widząc, że inni radzą sobie jeszcze słabiej. Moimi faworytami w plecakach współpodróżnych są niezwykle przydatne na każdym górskim trekkingu: kawiarka, multitool (solidna konstrukcja o wadze oscylującej wokół 1 kg) czy puszka pianki do golenia 750ml, absolutnie

konieczna w czasie każdego, trzydniowego marszu po naszych Beskidach. Ale wróćmy do mnie. Wraz z rozrostem rodziny nastał czas na pierwsze wakacyjne wojaże z własnym, prywatnym dzieckiem. Sympatyczny maluch o rozradowanej buzi nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, ile dodatkowych rzeczy trzeba dla niego wziąć. Jakby ojciec już wcześniej nie miał problemów z pakowaniem. A urlop długi, 4 miesiące, a w planie 6 wyjazdów. Oj, że lekko nie będzie, było oczywiste.

Pierwszy wyjazd bardzo zachowawczy, taka rozgrzewka. Jedziemy na bazę namiotową w Podwilku, i to samochodem. Potężne kombi pomieściłoby trupa w szafie. Zresztą, czego się ze szwagrem nie woziło. I kabina prysznicowa, i wersalka weszła. Możliwości zapakowania samochodów są zresztą dużo większe niż nam się wydaje. Kiedyś na przykład z kolegą załadowaliśmy Nissana Micrę drzewem, które starczyło nam na ogrzanie całego domu przez weekend. A oprócz drzewa było nas tam jeszcze pięciu chłopów. No to co dopiero nasz kombiak. I nosić nie trzeba, jakoś popakować w reklamówki, poutykać gdzie wlezie.

Samochód zacząłem już załadowywać dzień przed wyjazdem. Kilkanaście kursów dom-auto-dom, windy brak, myślę że wszedłbym na dach Pałacu Kultury. No, ale nim się obejrzałem, samochodzik był elegancko załadowany. Tyle, że w domu została jeszcze pewna ilość siateczek i torbeczek. Trzeba to jakoś utkać. Buty najlepiej luzem. Ileż miejsca się marnuje pod fotelem pasażera. Mała, dobrze dopasowana gabarytowo siateczka idealnie wypełnia niepotrzebnie pustą przestrzeń między sprzęgiem a hamulcem. Hamulca ręcznego w trasie też rzadko używam, można więc postawić pionowo szczupłą torbę sportową. Na jutro już tylko rowery na dach (oczywiście 3 rowery na 2 osoby, po co się ograniczać!), rodzina na stanowiska i jedziemy. Wieloletni silnik dał radę dociągnąć z nadbagażem do Podwilka. Wracać będziemy z górki, więc tym bardziej nie powinno być kłopotu. Problem tylko z tankowaniem – obciążony tył osiadł i ostatecznie przed każdym tankowaniem gazu wystarczyło zdjąć rowery z dachu. Wszystkie trzy.

No cóż, trzeba przyznać że niczego nam nie brakowało przez te urocze dwa tygodnie, ale faktycznie nie spakowaliśmy się optymalnie. Zasiadliśmy z ołówkiem kopio-

wym przy świecy pod wiatą i obmyślamy plan naprawczy na kolejny wyjazd. Z serią mocnych postanowień i uspokojonymi sumieniami mogliśmy wreszcie pójść spać. Wyjazd drugi – wracamy na bazę, gdzie zostawiliśmy ostatnio większość manatków. Nie ma więc potrzeby pakować się, selekcjonować, decydować, upychać. Wszystko czeka na nas na miejscu. Co za ulga. O kurczę – znowu mamy kilkanaście toreb do wzięcia. Skąd to się wzięło? I przede wszystkim – gdzie to wszystko do cholery się mieści w tym mieszkaniu! No nie da się, MUSIMY wziąć wszystko.

Do trzeciego wyjazdu podchodzimy już z surowymi minami. Zero tolerancji dla materialnego rozpasania! No ale przecież jedziemy w góry, pogoda jest zmienna. W końcu to Alpy. Może być nawet śnieg. To już sierpień. Może być upał, a mogą być przymrozki. No i koronny argument – w końcu jedziemy z DZIECKIEM! Dziecku nie odmówię. No właśnie, dziecko. Z rozrzewnieniem i podziwem zacząłem wspominać podróże lat dziecińczych, kiedy rodzice zabierali mnie z siostrą pociągami, drugim pociągami, i jeszcze trzema pekaesami, ostatnie 4 km przez las i już byliśmy na miejscu. I przecież jakoś docieraliśmy i wracaliśmy. Owszem, pamiętam że mieliśmy dużo toreb, nieraz jakiś pijany góral z Poronina pomagał nam taszczyć walizy pod górę, chociaż pierwszych kilka kilometrów. Nieraz jechaliśmy tylko z mamą (czyli dwie dorosłe ręce obsługują dwoje dzieci + 5 toreb). No właśnie, skąd te pięć? Jakoś tak mi utkwiła w pamięci ta liczba, kiedy wszyscy odliczamy, aby się upewnić, że nie zostawiliśmy czegoś w poczekalni. Rzeczywiście, mama miała logistykę wczasów krajowych w małym palcu i empirycznie dowiodła, że jedna dorosła osoba z dwójką dzieci może nieść najwyżej pięć toreb. I tej wersji się konsekwentnie trzymała.

Dorobek tej szkoły rodził się w bólach. Pamiętam wczasy nad morzem, koniec lat 80. Nocna rzeźnia z Dworca Gdańskiego, szturm jak na granicy w Medyce. Rodzice

zajęli strategicznie znakomite pozycje na peronie, ale cóż. Okazało się, że nowa świetna torba podróżna, którą wujek przywiózł z delegacji, jest bardzo pakowna. Aż tak bardzo pakowna, że postanowiła się nie zmieścić w drzwiach wagonu. Oczywiście konieczność częściowego rozpakowania się oznaczała, że nie udało się nam znaleźć miejsca w pociągu. Może to nawet i lepiej, bo w środku nocy przesiadaliśmy się w Działdowie, gdzie konduktor pomagał nam wyjść przez okno. Walizki oczywiście towarzyszyły nam nieustannie. A w nich było m.in. zestaw garnków z Olkusza, maszynka elektryczna do gotowania, zawekowane porcje jedzenia dla dzieciaków na cały turnus... Ale u diaska, my nie wozimy teraz takich rzeczy, to skąd tyle tych gratów!

Ze wspomnień wyciągnęliśmy dwa mocne postanowienia: jeżeli mam wątpliwość, czy coś będzie nam potrzebne, to znaczy, że nie będzie potrzebne. No i wszystkie torby MUSZĄ zmieścić się w czterech rękach. Doczekaliśmy się wreszcie pierwszego sukcesu. Aż miło było wsłuchiwać się w łoskot przewracających się walizek po pustej przestrzeni bagażnika. Co więcej – poszliśmy krok dalej – na koniec wyjazdu przeprowadziliśmy audyt, który wykazał te rzeczy, których ani razu nie użyliśmy. Było to mniej więcej połowa wszystkiego, co zabraliśmy.

Tak więc przygotowując się do kolejnych wyjazdów z ogromną żarliwością przykręcaliśmy śruby i stawialiśmy sobie coraz ambitniejsze cele. I wreszcie finale grande – ostatni wyjazd. Dla utrudnienia – lecimy samolotem. Wszystkie nasze rzeczy zmieściły się do jednego dużego plecaka i jednej torby podręcznej. A było w nich m.in. 64 szt. pieluch. Z niedowierzania przecierałem oczy na lotnisku, gdy dotarło do mnie, że mamy niewykorzystany limit bagażu w wysokości... 65 kg! Z jeszcze większym niedowierzaniem stwierdziliśmy pod koniec wyjazdu, że niemal połowy zabranych rzeczy... nie użyliśmy ani razu. Polak potrafi! ■

Porta Rusica

część czwarta

Grzegorz Kaczmarek

W słynącej z kopalni srebra Selmechányi zieleniło się od szamerowanych dolmanów. We wszystkich zajazdach pito zdrowie Thökölyego, podrzucano kuczmy na wiat i śpiewano niewybredne piosenki o cesarzu Leopoldzie. Komendant Bálint Bajusz był w doskonałym humorze, dopijał właśnie wino po drugim podkurku, gdy przyprowadzono doń trzech podejrzanie wyglądających oberwańców. Chcąc mieć sprawę jak najszybciej z głowy, niezwłocznie przystąpił do przesłuchania.

- Ktoście są?
- Podporucznik Henryk Rajner z nagytapolcsánskich dragonów, a to moi żołnierze.
- Założmy, że to prawda. Co tu robicie?
- Wracam z misji nad Ipolą.
- Macie mnie za głupca?! Takie banialuki wsiowym derdołkom w austeriach opowiadajcie! Nikt normalny nie kręci się teraz nad Ipolą! Już ja was znam labanckie szpiegi!

- Jesteśmy od kapitana Kraya, o którym musiałeś waszmość słyszeć.
- Jeśliście od Kraya, to winniście mieć topory wykłute!
- Niech niewierny Tomasz dotknie ran - rzekł Rajner ukazując wytatuowane ramię.
- A niech mnie! Ani chybi jesteście od starego Bálinta!
- Nie inaczej! Służę pod nim już szósty rok.
- Ale co u licha robiliście nad Ipolą?! Przecie tam teraz bisurmanów jak mrówek!
- Mieliśmy dokonać inkursji na tyłach i wziąć języka. Wyszło trochę inaczej. Z półsta ludziostałem się samotrzcęć.
- Kto was tak poszczerbił i gdzie wasze konie?
- Mieliśmy sprawę z regularną jazdą z Bośni, a konie nam w drodze padły.

- Regularna jazda z Bośni! Dobrze, że nasz wódz Imre Thököly, niech Bóg ma go w opiece, wszczął negocjacje z sułtanem i zostaje nam tylko wienneńska Charybda.
- Thököly nie powinien wchodzić w konszachty z sułtanem, to obwieś w purpurze.
- A cóż było czynić, mieliśmy dać się pożreć jak poprzednicy Odyseja? Wypędzimy cesarskich i labanców, zajmiemy Górne Węgry, a potem połączymy siły z Siedmiogrodem. A wtedy...
- Bosforska Scylla pochłonie wszystką ziemię aż po Karpaty!
- Padyszach połamie sobie zęby na tych górach, a jak pokaże się Sobieski czmychnie z podkulonym ogonem!
- Daj Boże! Ale co z Charybdą? Przecież cesarz nigdy nie wyrzeknie się węgierskiej korony!
- Mamy poparcie Francji. Król Ludwik to wielki mocarz! Ale waszmościowie! My tu politykujemy, a wam pewnikiem kiszki marsza grają! Jadło i napitek dla naszych gości z Nagytapolcsán! Żywo!

Dwóch famulusów uwinęło się błyskawicznie i na stole pojawiły się posypane serem langosze, tokań, kaban w jabłkach oraz śliwkowa palinka. Przy stole gospodarz zaczął się rozwodzić nad sytuacją sił powstańczych. Kurucowie odnieśli spory sukces, zajęli kilka miast górniczych i strategicznych twierdz. Największą groźbą dla zaplecza powstańców pozostała prywatna armia stronnika cesarskiego Zygmunta Drugeta. Potrzeba było kogoś, kto „chwyci go za gardło”. Posiliwszy się, Rajner poprosił o czas do namysłu nad otrzymaną od komendanta propozycją przystąpienia do powstańców. Obiecał, że on i jego ludzie udzielą odpowiedzi do rana. Uległ usilnym naleganiom gospodarza i noc spędził w jego podmiejskiej rezydencji. Henryk długo zastanawiał się, co począć. Z jednej strony nie żywił sympatii do cesarza Leopolda, ale z drugiej nie uśmiechała mu się służba w sojusznym wojsku sułtańskim. Obawiał się, że rachuby polityczne powstańców zawiodą i jak to już nie raz bywało, Węgrzy padną ofiarą Austrii i/lub Turcji. Do tego wszystkiego dochodziła kwestia zemsty na Drugetcie. Jako oficer kuruców zbliżyłby się do wypełnienia przysięgi złożonej niegdyś na grobie rodziców. I to z tej przyczyny ostatecznie postanowił porzucić służbę w nagytapolcsańskie warowni. Rankiem, zgodnie z zapowiedzią, przybył do ratusza, gdzie stanął przed oczekującym go komendantem, by zakomunikować mu swój akces w szeregi Thökölyego. W jego ślady poszli Radu i Jackiewicz. Perswadował im, że nie muszą tego robić, lecz oni nie zmienili zdania i Rajner musiał pogodzić się z tym, że będzie ich „niańczył” dalej. Bajusz uradowany takim obrotem sprawy, zobowiązał się co rychlej załatwić wszelkie kwestie formalne. Zapewnił im nowy przyodziewek, broń, nieco grosza na drogę i dał list polecający do swego przyjaciela w Besztercebányi.

Mendel jeźdźców jadących z zachodu wkraczał właśnie na przełęcz opodal wsi Vernár. Kurucy skreśli w leśną dróżkę wiodącą ku skrytej w gąszczu polanie. Rósł tu potężny buk spiralnie opleciony przez jabłoń. Leżał pod nim wielki głaz z wrytym symbolem zatartym przez czas. Wśród miejscowej ludności istniała przekazywana z pokolenia na pokolenie opowieść o skarbach ukrytych tutaj przez harnasia Kralika. Prawda była jednak zupełnie inna. Tajemniczym symbolem nie były, jak utrzymywali bajorze nożyce, lecz skrzyżowane kilof i łopata. Dla każdego krasnoluda była to informacja, że jest to wejście do Argełoku, kopalni klanu Gwerków. Ród ten przybył w Karpaty z Czech w czasach władania ostatniego z Arpadów. Przez setki lat bogacił się dzięki eksportowi rud cennych minerałów. Intensywna eksploatacja złóż doprowadziła jednak do ich szybkiego wyczerpania i w chwili narodzin naszego bohatera od ponad wieku krasnoludy zaprzestały drażenia chodników. Większość wywędrowała na wschód w poszukiwaniu dogodnego miejsca do założenia nowej kopalni. Ci, którzy nie chcieli się rozstać ze swoją małą ojczyzną, stali się szalawilami żyjącymi z dnia na dzień. Pasibrzuchy, jak przezywali ostatnich Gwerków ich pobratymcy z sąsiedztwa, czuli się bezpiecznie za wrotami obłożonymi zakłeciem maskującym. Jako posiadacze czapek niewidek bez krepacji podwędzali prowiant podróżnym zatrzymującym się pod głazem. Z biegiem lat stali się tak pewni siebie, że potrafili „ruszać na łowy” na rauszu. Zdrożeni żołnierze roztasowali się pod osobliwymi drzewami. Csák, bratanek Bajusza zrzucił sakwy z jadem pod przytulony do nich głaz. Poszedł w las za potrzebą. Gdy wrócił, chciał zabrać się do przygotowania stawy. Sięgnął po jedzenie, ale ku swemu zdziwieniu przekonał się, że sakwy są puste...

- Na figle wam się zebrało, psie głowy!? Oddawajcie sakwy z kurakami!
- Chybaś przez rozum cięty karczmarzu! Nie tykaliśmy stawy! – odpowiedział Pisklak, jeden z nowych towarzyszy trójki byłych dragonów.

Krewki Csák z wściekłości aż poczerwieniał na twarzy. Błyskawicznie złapał za rękojeść koncerza i wykrzyknął – Odszczekaj to gołoto! Pisklak wyszarpnął z pochwy szablę i gdy już wydawało się, że dojdzie do starcia pojawił się Rajner. Natychmiast spacyfikował przeciwników chwytając ich za karki i z całej siły uderzył o siebie gorące głowy. Efekt był natychmiastowy. Pojękujący adwersarze leżeli spokojnie i dowódca mógł zająć się wyjaśnieniem sytuacji.

- No i o co wam poszło?
- Pisklak ukradł kuraki!
- Łgarstwo!
- Jak świat światem pisklakowi nie godzi zająć się kurakiem! – rzucił któryś z tłumy.

Żołnierze trzęśli się ze śmiechu przez dłuższą chwilę. Rajner odczekał aż towarzystwo uciszyło się nieco i nakazał milczenie. Kontynuując śledztwo zwrócił się do Pisklaka:

- Gdzie w takim razie jest nasz prowiant? Chyba nie uleciał w przestworza!?

- Zaklinam się na wszystkich świętych, że nie tykałem wieczerzy.
- To tacy z was rycerze!- wrzasnął poirytowany oficer - Kokosze wam macać, nie na wojnę iść!
- Nie sierz się mości poruczniku - ozwał się rotmistrz Levente - nikt z nas tu nie zawinił. To czary. Chciałem was ostrzec przed popasem w tym miejscu, ale byście mnie panie wyśmiali. . .
- Zakładam, że naszej strawy nie skradły krasnale, z przekazem odparł świeżo awansowany Rajner.
- Także istotnie się stało. Ja rodem z tej ziemi. Trudno wam będzie dać wiarę moim słowom, ale. . .
- András, taki stary chłop, a w bajania jarmarcznych bab wierzy!
- To święta prawda! Dziś mamy nów, więc jeśli przyrzycie się kamieniowi, zobaczycie rozświetlone wrota ich królestwa.
- Rzeczywiście coś się łyska - zauważył Gyula, dawny komiliton rotmistrza Andrása.

Zaciekawieni mężczyźni zwrócili wzrok na kamień i z wrażenia rozdziawili usta. Ich oczom ukazały się misternej roboty fosforyzujące wrota. Na ich skrzydłach znajdowały się nienaturalnie małe, krępe brodate postacie w dziwacznych strojach, dzierżące kilofy i łopaty. Nigdzie nie było widać choćby najmniejszej szparki na klucz i wszystkim oprócz starego rotmistrza wydawało się, że jest to jakaś dziwaczna płaskorzeźba z pradawnych czasów. Zaciekawiony porucznik chciał podejść nieco bliżej, by jej dotknąć i wywrócił się o coś, co leżało na ziemi. Ze złości kopnął przeszkodę, która ku zdziwieniu wszystkich jęknęła. Rajner chwycił w ręce „przeszkodę”. Z początku myślał, że trafił na jakiegoś ospałego lub chorego zwierza, ale gdy obmacał go dokładniej zorientował się, że to jakaś człeko-kształtna istota. Światło pochodni kuzyna Gyuly, Levente, ukazało wszystkim trzęsącego się jak osika krasnoluda. Wśród żołnierzy zapanowała konsternacja.

- Gdzie nasze jadlo zbrodzeniu?! - wykrzyknął ze złości Csák
- Gadaaj, gdzieś je skrył kuglarzu! Mów, a daruję zdrowie! - dorzucił Pisklak

Mała istota uparcie milcząc z niepokojem przyglądała się indagatorom. Po godzinie bezowocnego śledztwa Rajner zmienił taktykę. Kazał wszystkim oprócz Levente, któremu polecił pilnować niecodziennego więźnia, ukryć się z końmi w lesie. Na dany znak mieli wbiec na polanę i ująć współników krasnoluda. Zmęczony podróżą porucznik położył się blisko ognia, podłożył pled pod głowę i zasnął. Jako wyznawca zasady Jackiewicza „bez karabeli ani z pościeli, bez obuszka ani od łóżka” jedną rękę trzymał na czeczudze. Z płytkiego snu wybudził go szelest na granicy słyszalności jego czułych uszu. Nagle ni stąd ni zowąd Levente zaczął chrapać, a ciało Rajnera zaczęło drętwieć. Nim zdążył chwycić za broń, był już całkowicie sparaliżowany. Kamienne wrota rozchyliły się i ukazała się grupka

krasnoludów. Wiedzeni przez płomiennorudego przywódcę podeszli do unieszkodliwionego człowieka. W czasie gdy dwóch krasnali oswobadzało swego pobratymca, Dimel nestor rodu Gwerków przemówił do Rajnera.

- Nie bójcie się panie, nie uczynimy krzywdy ani tobie ani twoim towarzyszom śpiącym w lesie. Musimy jednak mieć absolutną pewność, że zapomnicie o tym, coście tu widzieli.

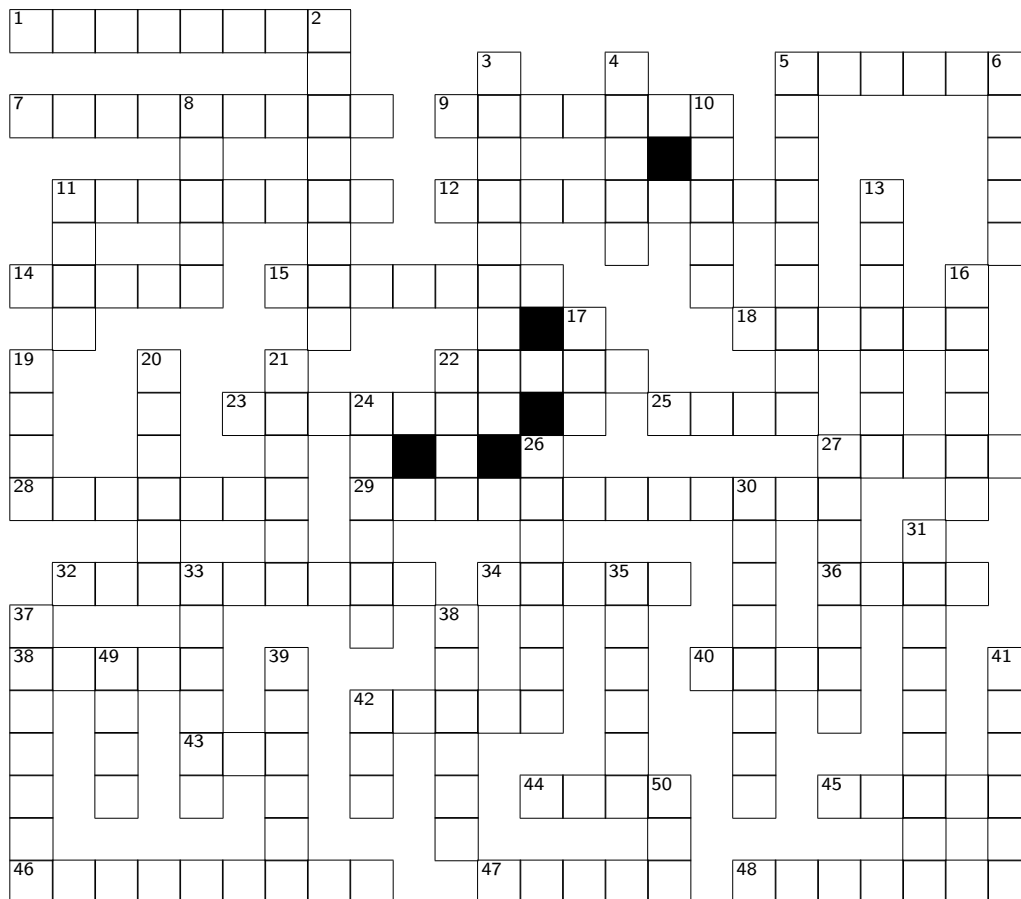
Wypowiedziawszy te słowa wymruczał jakieś zaklęcie, w wyniku którego Rajner zapadł w głęboki sen. Tak jak jego ludzie obudził się rankiem ze wspomnieniami odbiegającymi od faktycznego biegu wypadków. Kojarzył, że Csák i Pisklak pokłócili się o jakieś głupstwo, a następnie pogodzili łykiem siwuchy. Czuł sytość po wieczerzy, której resztki leżały opodal obozowiska. Zarządził zwinięcie obozowiska i jazdę ku granicy. Nakazał zachować czujność z uwagi na bandytyzm pleniący się w komitacie Szepes. W leśne ostępy tego granicznego, górzystego zakątka Górnych Węgier ściągali dezterterzy, infamisi i hołota wszelkiej maści. Jedni działali na własną rękę, inni za wiedzą i przyzwoleniem możnych. Skuszeni mnogością szlaków handlowych, czatowali na kupców i podróżnych stając się w tych niespokojnych czasach utrapieniem dla władz komitackich. Niedawno zrobiło się szczególnie głośno o tołchajach pod wodzą niejakiego Siekierki. Od kiedy wszedł w konszachty z Zygmuntem Drugetem, stał się jednym z najzuchwalszych zbójceckich kapitanów. Patron zagwarantował mu prawo do połowy łupów oraz obdarował w bogate wyposażenie. Dzięki temu jego liczna zbójnicka kompania przedstawiała widok nad wyraz okazały. Opryszkowie odziani byli w samodziałowe portki oraz strojnie obszyte koszule i sięgające bioder gunie. Każdy miał buty z cholewami oraz szerokie skórzane pasy ozdobione tłoczonymi sprzączkami. Całości dopełniały czarne filcowe kapelusze z podwiniętymi do góry kresami. Ich uzbrojenie dorównywało niejednej prywatnej rocie – obok przewieszonych przez plecy muszkietów, za pasami sterczały noże, toporki i pistolety, w rękach zaś dzierżyli rohatyny. Przebiegły zbójnicki hetman celowo nie wyróżniał się spośród swoich ludzi. Sprzyjająca wiosenna aura i umiarkowanie ciepłe lato sprawiły, że w początkach lipca na polach stanęły brogi, zaś dwie niedziele po dniu świętego Władysława między brożynami podtrzymującymi słomiane daszki zaczęło pojawiać się siano. Zbliżające się żniwa nie interesowały jednak nikogo spośród kilkudziesięciu ludzi zuchwałego harnasia. Gdy tylko zwojecz doniósł mu o 15 jeźdźcach z wypchanymi sakwami zmierzających ku miastom górnego Spisza, postanowił zastawić pułapkę. Po obraniu najdogodniejszego miejsca cierpliwie czekał na ofiary. Miał zamiar wziąć je z zaskoczenia na sposób wołoski. Po obu stronach drogi biegnącej wąską doliną rozkazał popodcinać drzewa tak, by w odpowiednim momencie móc je natychmiast przewrócić. Gdy tylko Kurucy podjechali na odpowiednią odległość, dalszą drogę zagroziło im nagle padające drzewo. Nie mogli zawrócić ponieważ zaraz za nimi runął dorodny dąb. Ponaglani krzykiem dowódcy zbili się w pierścień, lecz nie na wiele się to zdało wobec walących się prosto na nich sosen. Rozproszeni i zdezorientowani stali się łatwym łupem dla opryszków wyskakujących z chaszczy. We dwa pacierze ludzie Rajnera zostali wybici do nogi. Ze stawia-

jącym desperacki opór oficerem napastnicy poradzili sobie w końcu za pomocą arkana. Schwytyany tym sposobem mógł jedynie bezsilnie patrzeć na zarzynanie ległych na poboju rannych towarzyszy i grabież. Zgodnie z instrukcją mocodawcy Siekierka kazał brać żywcem jedynie

znaczniejszych ludzi, pozostali musieli zginąć. Wszystko to trwało tak szybko, że jeniec ani się obejrzał i już został uprowadzony w las.



Krzyżówka: Ludzie SKG



Poziomo 1 Nielicznym znane nazwisko Afryczki. 5 Imię instruktora który na co dzień jest tłumaczem. 7 W 2006 roku przemierzył Czukotkę na rowerze. 9 Ma brata bliźniaka i majstrował w Zarządzie. 11 Harcerka, była Kierowniczką Kursu, sekretarz Zarządu. 12 Niejeden Klubowicz i instruktor nosi to nazwisko. 14 O mały włos francuska guwernantka. 15 Jedna z założycieli bazy namiotowej w Podwilku. 18 Instruktor niekoronowany, ale z ścią dostojnym przezwiskiem. 22 Kicał w Zarządzie i KR. 23 Pierwsza Kobieta-Prezes SKG i stała bywalczyni bazy. 25 Instruktor z Muppetów. 27 Miłościwie nam panujący Kierownik Kursu. 28 Lipcowy bazowy, który ma 2 synów, którzy wiele potrafią. 29 Pan od przyrody, pasjonat grzybów. 32 Instruktor, prywatnie nauczycielka hiszpańskiego. 34 Instruktor który – zgodnie z zawodem – sypia na baczność. 36 Imię członkini Zarządu. 38 Mętlkiem zwana. 40 Kobieta ksywka Arka, chłopca pięknego i młodego. 42 Przybył z kraju, gdzie nasze narodowości to bratanki. 43 Imię członkini pierwszego nieoficjalnego Zarządu. 44 Prawnik z Dobrej. 45 Instruktor – farmaceuta. 46 Papieżycza z biblioteki. 47 Namawia nas do oddawania krwi. 48 Obecny Wiceprezes ds. Turystycznych.

Pionowo 19 Była opiekunka slajdów z nazwiska (nie)wysoka. 37 Nadworny plastik SKG: od plakatów i banerów, Prezio KŚM. 11 Gospodarz radzieckiej karnawałówki. 49 Imię to noszą: Neo, Nadbazowa i Pani od kursowej pogody. 20 Były prezes, który z ksywki mógłby praktykować magię. 8 Farmaceutka na emigracji w USA. 33 Porządkował niedawno bibliotekę. 21 Jedna z siostr klubowych, harcerka, która nie lubi, gdy ktoś stąpa po cienkim lodzie. 39 Były prezes, ma brata, który podpisywał się niegdyś Pedro de Visco. 2 Jego pracą magisterską była mapa gór zza wschodniej granicy. 24 Rodzina bazowa, ich nazwiskiem ochrzczony jest namiot w Podwilku. 42 Najślynniejsze trzyliterowe inicjały dawnego Członka Zarządu. 22 Był prezesem pięciokrotnie. 38 Trzy osoby, jedna rodzina spod Szczecina. 3 Marszałek Hr. Wlk Koronny V RP Jean Paul Casimirus de Pipand herbu Orzechówka. 38 Główny sprzętowy. 17 Ma go „Pani-Go, Go, Go, Pani – Sia, Sia, Sia”, były dwukrotny prezes. 4 Białoruski emigrant aktualnie przebywający w Rosji. 35 Pani weterynarz lub coś, czego wyznaczanie przysparza kursantom kłopotów. 50 Imię dziecka fotografów-podróżników, które zwiedziło już niejeden kontynent. 10 Klubowy paker – bohater Ovir story. 30 Znajdziesz go w Zodiaku. 5 Rodzynek w ubiegłorocznych Zarządzie. 27 Mistrzem zwany lub bohater klubowych wigilii. 13 Przysłał kiedyś na bazę list z Indii, prywatnie pracuje w antykwaracie. 31 Gitarowy grzejek, który gubi instrumenty, zwykle flet... 16 Dwóch nosi to znaczne imię instruktor i praktykant. 6 Miłościwie nam panująca Prezes. 41 Pełne imię naszego kursanta-Hindusa.

Co przed nami

czyli lista gorących zapowiedzi

1. **Rajdówka** – wyjazd górsko-autokarowy w długi weekend Bożego Ciała w dniach 4-6 czerwca w Beskid Mały i Śląski (wyjazd zaliczeniowy kursantów [zamiast autokarów], otwarty dla uczestników)
2. **Działkówka** w weekend 20-21 czerwca w Filipówce koło Garwolina i jednocześnie pożegnanie Madzi Czarneckiej przed wyjazdem do Krainy Śniegu i Lodu
3. **Rozkładanie bazy namiotowej Madejowe Łoże** na Orawie w ostatni weekend czerwca (27-28 czerwca) i rajd Michała Pluty (informacje z serii "kiedy, gdzie i za ile" zostaną wkrótce podane na stronie www)
4. **Przejście Letnie** 10-26 lipca w Siedmiogrodzie z instruktorem Michałem Bekeyem i jego prawą ręką Adamem Yetim Cieślikiem, wyjazd otwarty
5. **Rajd Zerówkowy** we wrześniu dla nowych studentów, którym jest bardziej w smak integrować się podczas górskich wędrówek niż na alkoholowych libacjach

6. **Start XXXV Kursu Przewodników Górskich** w październiku!

7. **Jubileusz 10-lecia Klubu św. Mikołaja**

Autor: Karusia:

Who the f*** is KŚM? :D :D :D

„Dawno dawno temu w SKG była taka grupka zwana KŚMem - Klubem Świętego Mikołaja.

KŚM powstał spontanicznie po jednej z kursówek w 2005 r. - była to akcja kilkunastu bardzo zaangażowanych osób i przedsięwzięcie dość hermetyczne, ale echo jego istnienia nosiło się po Klubie z dużą pompą. To trudno opisać kilkoma słowami.”

Co poza tym?

Nowy zarząd wziął się do roboty i postawił na propagowanie Klubu i utożsamianie się z nim w sposób widoczny. Dlatego gdy pijesz poranną kawę, rób to tylko z kubka SKG; gdy biegasz po Warszawie, chodzisz po górach czy jeździsz na rowerze, rób to tylko w koszulce SKG; gdy zakładasz plecak, torbę lub polar, może znajdować się na nich tylko haft SKG. Tak to działa ☺

UWAGA! I Wy możecie coś napisać do Biuletynu SKG! Jeśli chcielibyście podzielić się z szerszym gronem Waszymi przygodami, wspomnieniami, przemyśleniami, zdjęciami, rysunkami, wierszami, piosenkami, wywiadami, recenzjami, opowiadaniem, po prostu wszelką formą twórczości literackiej i artystycznej, możecie na nas liczyć. Ekipa biuletynowa jest otwarta na teksty nowych autorów. Będzie nam niezmiernie miło, gdy wyrażicie chęć publikacji Waszej twórczości na łamach klubowej gazet-

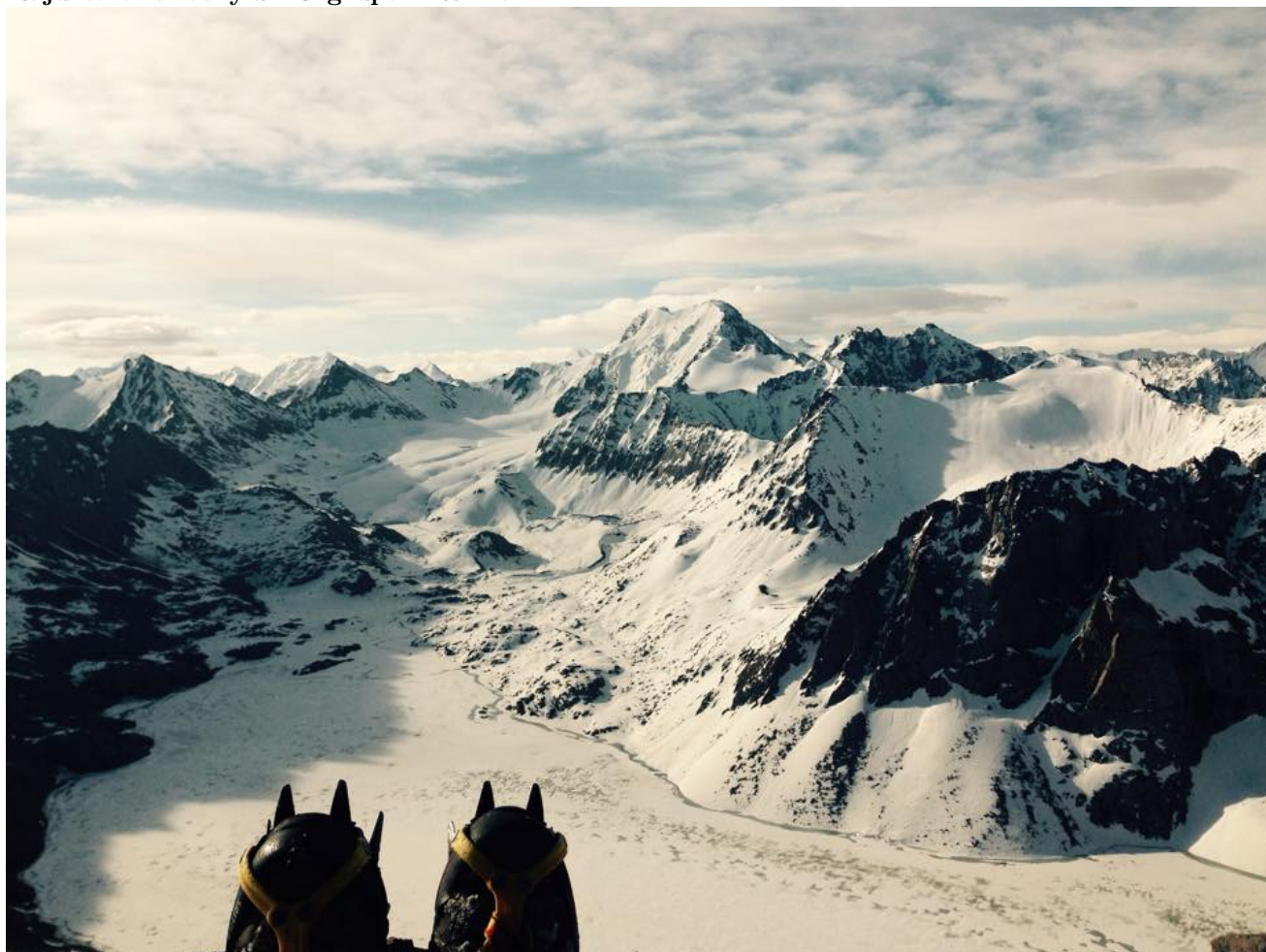
ki. Wystarczy wysłać do nas wiadomość na adres biuletyn@skg.uw.edu.pl.

Mail jest też po to, byście mogli wyrazić w nim swoją opinię o Biuletynie, napisać wszelkiej maści uwagi (także te negatywne, a krytyka niechaj będzie konstruktywna ☺) oraz Wasze pomysły, jak wzbogacić gazetkę, co chcielibyście czytać. Już nie mówiąc o tym, że z otwartymi ramionami przyjmujemy nowych członków zespołu redakcyjnego! Zapraszamy! ☺ ■

Poziołmo 1 Niewczas 5 Wojtek 7 Bugajczyk 9 Sarniak 11 Pionowo 19 Hoch 37 Karusia 11 Swół 49 Ania 20 Szaman 24 Steinhach 12 Ochremiak 14 Józia 15 Rapsond 18 Książę 22 8 Julia 33 Czarek 21 Druchna 39 Płasi 2 Szymczak 24 Kicał w Zarządzie i KR. 23 Traczek 25 Fazi 27 Marek 28 Ciszek 42 BBJ 22 Zyga 38 Weksej 3 Marcinia 38 Witrowy 5 Helmut 29 Stamszewski 32 Janczarek 34 Dwał 36 Olga 17 Wąz 4 Mirek 35 Azynt 50 Iga 10 Kwito 30 Strzelec 5 38 Agata 40 Heła 42 Bekey 43 Ewa 44 Yeti 45 Dziok 46 Witkowski 27 Mikołaj 13 Gałazka 31 Eggermeier 16 Jédrek 6 Kocot 41 Venkat



Rajd Wielkanocny SKG grupa M&M's



Kirgistan fot. Tomasz Kłoda